



Rok XVI

33 (822)

CENA 1.50 ZŁ

19.8.73.



OD GŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ARTUR RUBINSTEIN

DZIECINSTWO

Czytaj na str. 4

SAMI DLA SIEBIE

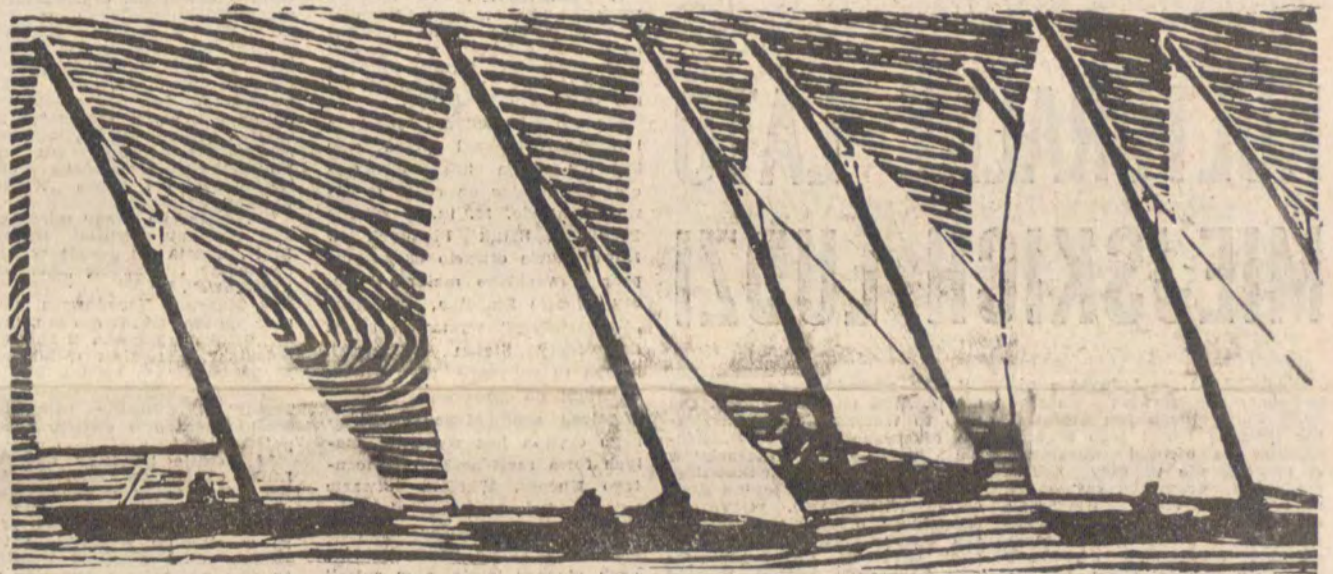
Z zastępcą przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi dr KSAWERYM KRASSOWSKIM o zadaniach i społecznej roli samorządu mieszkańców rozmawia Bogda Madej.

Przywykliśmy już do tego, że w miejscu naszego zamieszkania istnieje i działa komitet domowy lub komitet blokowy. W wielu wypadkach nie znamy nawet ludzi, którzy działają w tych komitetach. W innych — ludzie ze społeczną pasją potrafili zdobyć sobie uznanie i zaufanie mieszkańców, stając się ich rzeczywistymi rzecznikami. Pod koniec ubiegłego roku odbyły się wybory samorządu mieszkańców i oto teraz znów jesteśmy w trakcie kampanii przygotowawczej do nowych wyborów, które odbędą się od 15 września do 15 października tego roku, jako wynik realizacji uchwały Biura Politycznego KC PZPR, mówiącej o zadaniach w dziedzinie umacniania i rozwoju samorządu mieszkańców w miastach. Nowy samorząd będzie miał nowy model organizacyjny i nie tylko.

— W Łodzi posiadamy tradycje i spore doświadczenia w samorządowej działalności. Szkoda byłoby, żeby wprowadzane zmiany przekreśliły ten dorobek. — Toteż nie mamy zamiaru go przekreślać. Wprost przeciwnie. Jeśli uważnie przyjrzyć się zadaniom, jakie postawiono przed samorządami, to wiele z nich było u nas już realizowanych. W Łodzi — w przeciwieństwie do niektórych miast — mieliśmy bardzo rozbudowany system samorządu mieszkańców. W wyniku ubiegłorocznych wyborów we wszystkich dzielnicach powstały 4753 komitety domowe z 18 tys. członków i 186 komitetów blokowych z ponad 5 tys. członków.

Oczywiście trudno twierdzić, że wszystkie komitety pracowały dobrze, ale mimo to mamy wciąż wiele doświadczenia. Na przykład: wpływ komitetów domowych na termin i przebieg remontów, lokalizację sklepów, korekty tras komunikacyjnych, organizowanie opieki nad dziećmi i ludźmi starszymi czy choćby tworzenie klubów i świetlic, w których prowadzono atrakcyjną działalność kulturalną.

Dalszy ciąg na str. 3



ANDRZEJ MAKOWIECKI

NIE MA CUDÓW W KRAINIE WIELKICH JEZIOR

Dla cudzoziemców, którzy odwiedzają Polskę w celach turystycznych, Pojezierze Mazurskie stanowi atrakcję pierwszoplanową. Jeśli ktoś sądzi, że jest to twierdzenie ryzykowne i naciągane — mamy przecież wiele innych atrakcji: piękne góry, rozległe Wybrzeże — niechże łaskawie weźmie pod uwagę, że Jeziora w polskim wydaniu są w warunkach europejskich czymś naprawdę rzadko spotykanym, na swój sposób egzotycznym i dzikim.

Jeziora, to niekończące się szlaki wodne, których urok docenić można dopiero za burtą żaglówki, przeciskającej się gardzielami mrocznych kanałów, opływającej kępiaste, malaryczne wysepki, gdzie oprócz ptaków nie ma śladów innego bytowania, tkwiącej nieruchomości w czasie bezwietrza pośrodku owych słodkich mórz o zamazanych nierealnych horyzontach...

Jakkolwiek nie jestem zagorzałym wielbicielem opisów przyrody i wiem, że nurzań się w tych sprawach nieuchronnie popycha autora w ramiona cioci Grafomanii, wspomnę jeszcze z rozmysłem o mazurskich lasach...

Włosi, Holendrzy, Norwegowie, którym dane jest przyjechać w te rejony, nie

ukrywają bynajmniej swoje go zaskoczenia i balwochwalczych zachwyty. Bo też wchodzisz w taki las i na przestrzeni wielu kilometrów nie spotykasz żywej duszy. Błądasz się po dawno zapomnianych ścieżkach, przyładasz na słonecznych polanach, patrzysz jak pod wieczór i o wczesnym ranku mgła klebi się obficie w ustronnych wąwozach. Trafiasz w gąszcz maliniaków i zrywasz garściami, worost do gęby, owoce, których nikt nie zdążył jeszcze soryskać bakterioobójczym świniestwem. Jedna jedyna rozgnieciona językiem o podniebienie poziomka uzmysławia ci, czym jest prawdziwy smak i zapach lasu, i jak wiele trącis, dusząc się przez cały rok w cholernej cywilizacji.

— Do kogo to wszystko należy? — wypytywał mnie przybyśz ze słonecznej Italii, wódczący się po mazurskich drogach luksusowym samochodem. Powiedziałem:

— Do państwa. — Czyli jest nieczyje? — kręcił zdziwiony głową. — Każdy tu może przyjechać...

Dalszy ciąg na str. 6



Benon Liberski — „Zakuci mężczyźni“ (olej)

ZE ŚWIATA

Do spotkania przywódców partii wspólnoty socjalistycznej na Krymie, z którego komunikat omawialiśmy w ubiegłym tygodniu, będziemy powracać wielokrotnie. Było to bowiem wydarzenie o doniosłym znaczeniu, składające do wielu refleksji. Pisaliśmy na przykład, że spotkanie to raz jeszcze potwierdziło zdecydowanie krajów socjalistycznych, aby rozszerzyć strefę odprężenia i objąć nią cały świat. Wymaga to oczywiście uregulowania wszystkich sytuacji konfliktowych, będących następstwem imperialistycznej agresji. A więc: zapewnienia narodom Indochin sprawiedliwego pokoju i możliwości decydowania o własnym losie oraz pokojowego uregulowania sytuacji na Bliskim Wschodzie, która nadal jest niebezpieczna.

Objęcie strefą pokoju całego świata musi być także równoznaczne z eliminowaniem działalności sil „zimnej wojny”, które nadal są aktywne. Tym bardziej dlatego konieczna jest koordynacja wysiłków krajów socjalistycznych, które właśnie zgodnym działaniu zawdzięczają sukcesy w dziedzinie odprężenia.

Niestety, odmienne cele stawia sobie polityka kierownictwa Chińskiej Republiki Ludowej. Jest ona wymierzona przeciwko światu socjalistycznemu i coraz częściej sprzymierza się z najbardziej reakcyjnymi siłami imperializmu. Chodzi już nie tylko o to, że maoiści wykazują niestabilną aktywność w oczernianiu Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych, lecz również o to, że praktycznie przedzierała go preżeniu.

Na forum ONZ niejednokrotnie już delegacja ChRL występowała przeciwko radzieckim inicjatywom pokojowym, stając tym samym w jednym szeregu z faszystowską Portugalią i rasistowskim reżimem południowoafrykańskim.

W Europie działalność Chin obliczona jest na antyradziecki sojusz z państwami NATO. Przywódcy tego kraju opowiadają się przeciwko systemowi bezpieczeństwa i współpracy, kwestionują ide europejskiej konferencji. W Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej maoiści zawierają różnorodne sojusze, wymierzone przeciwko socjalistycznej wspólnotce. ChRL zajmuje także negatywne stanowisko wobec wszelkich kroków rozbrojeniowych, sama prowadząc nadal próby nuklearne.

Wszystko to ma miejsce w czasie, kiedy na całym świecie toczy się konstruktywny dialog między państwami, przynoszący ocieplenie stosunków i konkretne pokojowe rozwiązania. Na tym tle chińska polityka jest anachronizmem.

Związek Radziecki, trudno już zliczyć ile razy, wyrażał gotowość do skutecznego rokowań z ChRL. Ta dobra wola potwierdzona została raz jeszcze artykułem „Prawdy”, omawiającym wyniki krymskiego spotkania. Czytamy w nim m. in.:

„ZSRR nadal gotów jest do poważnych konstruktywnych rokowań z ChRL, jednakże jest samo przez się zrozumiałe, że jakiś zwrot w tej dziedzinie może nastąpić tylko wówczas, jeśli chińskie kierownictwo przestrzeżąc będzie zasad wzajemnego poszanowania suwerenności i nieingerowania w sprawy wewnętrzne, gdy zaprzestanie swej wrożej działalności przeciwko krajom socjalistycznym”.

Przejdźmy teraz do trzech informacji tygodnia.

Agencje doniosły, że w 98 krajach świata trwają intensywne przygotowania do Światowego Kongresu Sił Pokoju, który zbierze się w Moskwie w październiku br. Narodowe ruchy pokoju przywiązują do tego kongresu ogromne znaczenie. Zbierze się on w atmosferze ogólnego osłabienia napięcia i może waleń przyczynić się do utrwalenia pokoju. W kalendarzu powakacyjnego okresu będą więc

m. in. następujące ważne wydarzenia o charakterze międzynarodowym: drugi etap Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, wiedeńskie rokowania w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie, Sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ oraz wspomniany Kongres Pokoju.

Z pewną rytmicznością powraca na łamy prasy sytuacja w Chile. Tym razem z powodu zmian, jakie dokonały się w rządzie prezydenta Allende. Nowy gabinet składa się z osobistości cywilnych i wojskowych, a rekonstrukcja rządu nastąpiła po to, aby można było skutecznie przeciwstawić się atakowi sił reakcji.

Okres, poprzedzający powołanie nowego rządu, wypełniony był rokowaniami prezydenta z chadecją — główną siłą opozycyjną. Nie przyniosły one rezultatu, a strajk właścicieli środków transportowych zakłócił życie w republice. Stało się jasne, że skrajna prawica dąży do obalenia Rządu Jedności Ludowej. W tej sytuacji Allende zdecydował się wprowadzić do gabinetu przedstawicieli sił zbrojnych. Tym samym chilijski kryzys znalazł się na zakręcie, może nastąpić ostateczne odizolowanie sił reakcji.

Z Trypolisu napłynęła wiadomość o pomyślnym zakończeniu rozmów egipsko-libijskich. Osiągnięto w nich porozumienie w sprawie warunków unii między dwoma krajami. Potwierdzono także, że referendum na temat unii odbędzie się 1 września.

Pisaliśmy na tym miejscu o zaostrzeniu stosunków między Egiptem i Libią z powodu tzw. marszu jedności, jaki przez Libię zorganizowany został w celu przyspieszenia unii. Napięcie, jak widać, minęło, a w rozmowach udało się powrócić do pierwotnie ustalonych terminów. Przybliżyła datę połączenia obu krajów unia. Dla sytuacji na Bliskim Wschodzie wydarzenie to będzie miało duże znaczenie.

W. SŁAWSKI

Lepiej, ale do ideału daleko

KULTURALNE LATO MIEJSKICH LUDZI

WARSZAWA. — Jednym z nie najlepszych zjawisk naszego życia kulturalnego jest kierowanie głównej troski jego organizatorów na ośrodki czasowe. A przecież nie wszyscy jednocześnie wypoczywają, zaś wobec nabierającej coraz większego rozmachu turystyki, zapewnienie przybyłom godziwej rozrywki również w wielkich ośrodkach staje się sprawą coraz pilniejszą.

Jak więc wygląda w pierwszej połowie sierpnia 1973 kulturalne lato miejskich ludzi? Choć jeszcze trudno zerwać z niechlubną tradycją zamykania na okres letni większości teatrów, filharmonii czy muzeów — w niektórych miejscowościach można dostrzec wyraźną poprawę.

W tak powodów do narzekania nie powinni mieć melomani. Dla nich to Warszawskie Towarzystwo Muzyczne urządza codziennie „Koncerty przy świecach” w Galerii Rzeźb Lazienkowskiej Pomarańczarni; atrakcyjne Koncerty Wilanowskie, Ożywiają działalność przejawia Warszawska Opera Kameralna, która obok spektakli, jest organizatorem koncertów dawnej muzyki w Kościele Ewangelickim. Stałym powodzeniem cieszą się środowiska recitale w Zamku Ostrogskich (siedziba Towarzystwa im. Chopina) oraz niedzielne recitale chopinowskie w Lazienkach. Nie narzekają na brak frekwencji młodzieżowe „Intercluby” i „Dyskoteki”. Dodajmy jeszcze, że dostępne są

dla zwiedzających prawie wszystkie placówki muzealne — z Narodowym na czele.

W KRAKOWIE — niestety wszystko po staremu. Wymyślono wprowadzić hasło: „Kultura — bez urlopu” ale śladów jego realizacji łatwiej można doszukać się w województwie niż w samym Krakowie.

Nie zawielił jedynie plastycy i młodzi. Pierwsi przez całe lato organizują liczne ekspozycje, zapraszając na coraz to nowe wernisaże. M. in. w salonie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Nowej Hucie otwarto ekspozycję prac słowackiego malarza i poety, Josefa Sturdika, w galerii „Krzysztofor” wystawia swoje drzeworyty Stefan Mrozeński. Można tu zobaczyć m. in. cykl ilustracji do „Boskiej komedii”.

W galerii sztuki Muzeum Teatralnego czynna jest wystawa małych form rzeźbiarskich Wincentego Kućmy. Wkrótce otwarte zostaną dwie następne ekspozycje: w pawilonie BWA wystawa prac 20 artystów podsumowujących plenery letnie, a w galerii „Arkady” zobaczymy dorobek katowickiego plastyka Andrzeja Urbanowicza.

Dzięki Halinie Czerny-Stefanek w Domu Kultury „Pod Baranami” odbywają się stale recitale muzyczne. Inne placówki kulturalne koncertują za granicą (np. Filharmonia), a po-

zostałe — tradycyjnie zawieszają działalność na całe lato.

Miesiące letnie nie są laskawym okresem dla organizatorów rozrywek kulturalnych w POZNANIU. Większość placówek stolicy Wielkopolski w okresie kanikuly zamyka swoje podwoje. Wakacyjna przerwa wykorzystywana jest na przeprowadzenie doraźnych remontów, zespoły udają się na wypoczynek, zagraniczne podróże jak np. Filharmonia Poznańska oraz Zespół Pieśni i Tańca „Wielkopolska”.

Dla szerszego kręgu mieszkańców Poznania Wydział Kultury R. N. miasta organizuje w każdą sobotę i niedzielę „Koncerty plenerowe”.

W Muzeum Narodowym obejrzeć można ciekawą ekspozycję — „Sztuka francuska w zbiorach polskich”, natomiast w Muzeum Archeologicznym czynne są dwie wystawy „Słaby starożytny Tracji” i „Polskie uzbrojenie średniowieczne w świetle wykopalisk”.

W okresie kanikuly opuszcza ŁÓDŹ ok. 200 tys. mieszkańców, ale mimo to w mieście żyje i pracuje w tym czasie około 400 tys. obywateli. Dziwi więc fakt, że w sierpniu wszystkie teatry łódzkie wraz z operą zamknęły swoje podwoje, a sytuację ratuje jedynie Teatr Muzyczny, który prezentuje „Karięre Nikodema Dymy”. Najmłodszym widzom pozostał Teatr Lalek „Pinokio”. W repertuarze kin przeważają westerny i „kryminały”.

Na uznanie zasługuje jednak działalność łódzkich muzeów: Muzeum Sztuki umożliwił zapo-

znanie się z historią malarstwa wszystkich epok i stylów, Muzeum Historii Włókiennictwa popularizuje przeszłość Łodzi przemysłowej, rozwój teatru na przestrzeni wieków. Ekspozycje te cieszą się dużym powodzeniem nie tylko u stałych mieszkańców Łodzi, ale i wycieczek z innych miast.

W niedzielne popołudnie setki łódzian ścigają imprezy z cyklu „Lato w mieście”, organizowane w parkach i w nowym amfiteatrze na Widzewie, gdzie produkują się zespoły artystyczne „Estrady” i fabrycznych domów kultury. W interesie mieszkańców warto byłoby rozszerzyć „Lato w mieście” co najmniej na sobotnie popołudnia.

Atrakcyjnie niż w poprzednich latach przedstawia się program kulturalny reprezentowany turystom zagranicznym. Powodem jest to, że wycieczki po nowej Łodzi, spotkania z znanymi i nieznymi artystami, organizowanych dla turystów zagranicznych przez „Orbis”. Do tradycji należy zwiedzanie ziem łódzkich i do Uniejowa, do rezerwatu żubrów w Smardzewicach czy wycieczki pod hasłem „Śladami pańi Walewskiej” — często połączone z aukcjami koni w Bogusławicach.

Latem dorosli mieszkańcy półmilionowego WROCŁAWIA zawycieczki uskarżają się na brak kulturalnych imprez, ciekawych rozrywek. Tradycji tej staje się

zadaniem niestety także w roku bieżącym, szczególnie w sierpniu, kiedy to niemal wszystkie teatry są nieczynne, a wakacyjną przerwę ogłosili także operetka. Na „placu boju” pozostali tylko artyści państwowej opery oraz teatru Współczesnego. Wroclawianie oraz turyści mogą jeszcze od błędy wybrać się do jednego z kin — niestety, od lat są one pozbawione sprawnie działającej wentylacji i tylko najwytrwalsi miłośnicy sztuki filmowej tam wytrzymują. W sierpniu we Wrocławiu panuje też wyjątkowa susza na imprezy estradowe, — występy Edyty Płechy z zespołem „Drużba” i Karela Gotta awizowane są przez „Impart” dopiero na wrzesień. Także salony wystawowe (z wyjątkiem BWA — ekspozycje grafiki szwajcarskiej i plastyki rumuńskiej) nie przygotowały na sierpień interesujących ekspozycji. Tym bardziej na uznanie zasługuje inicjatywa kolekcjonerów z wrocławskiego „Hobby-Clubu”, którzy prezentują od lipca do końca sierpnia ciekawe zbiory pn. „Od pingwina do zgara”. Wystawa ta cieszy się powodzeniem nie tylko wśród wrocławian, ale również u turystów zagranicznych.

ROZDZIELNIK NA PODROBY

Referent W. B. pracuje w Wojewódzkim Szpitalu Przewodniczącym w Tuszynie i codziennie musi się starać o urodzajne produkty żywnościowe dla 1000 ciężko chorych ludzi. Do produktów tych zaliczają się m. in. podroby.

Od czterech lat istnieje oddzielne zarządzenie ministra handlu wewnętrznego i ministra zdrowia, w myśl którego szpital wliczony w zakłady mięsnych, starszy referent zgłosił się w PZGS po odpowiednie zlecenie. I wtedy okazało się, że PZGS nie może wystawić zlecenia, gdyż rozdzielnik już opracowano, ale nie ma w nim szpitala.

Na marginesie warto dodać, że nieszczęsny rozdzielnik

opracował ob. Owczarski (tel. służb. 390-23).

— To co, mam chorem dać margarynę? — spytał referent.

— Róbcie, co chcecie — usłyszał w odpowiedzi. — My nic nie poradzimy, bo tak nam zlecił WZGS.

Ani kierownik działu spożywczego, ani ten od obrotu towarowego nie mogli poradzić. Potem jednak, zarządził hasłami, jeśli szukać „rezerv”.

— A może być pan tak skoczny po te podroby do masarni w Tuszynie?

— W Tuszynie biją dwie krowy powiedział referent — więc za Chiny nie wyciągnie się z nich 200 kg fiaków! Poza tym są tam dwie gospody, wczasy, itp., a w ogóle to porozumienie mówi o pobieraniu towaru z zakładów mięsnych w Łodzi.

— To może być tak do Aleksandrowa?...

Referent zrezygnował z dłuższej jazdy, i słusznie, bo samochód służbowy jest na rozrachunku budżetowym i szkoda marnować państwowe złotówki na bezcelową jazdę. Udał się natomiast do WZGS, gdzie jeden prezes był chory, drugi na urlopie, a zastępujący ich urzędnicz-

ka po rozmowie telefonicznej z PZGS też rozłożyła ręce i powiedziała, że nic nie poradzi.

Zrozpaczony referent pojechał do KP PZPR w Łodzi. Tu przyjął go z wyrozumiałością, uważnie wysłuchano, a po rozmowie telefonicznej skierowano do wydziału handlu PPRN. Jedzie więc referent do PPRN, gdyż dopiero stamtąd można skierować interwencję do PZGS.

Od tego momentu sprawa nabiera obrotów. Kierowniczka wydziału handlu „ustawia” PZGS, wyjaśniając, że szpital posiada tzw. żelazny przydział, w związku z czym rozdzielnik towaru na restaurację jest połączony z przydziałem bezprawnym.

— Co, narobił pan trochę szumu? — usłyszał referent, kiedy znalazł się w PZGS. Jednakże, z niechęcią i grymasami, poprawiono rozdzielnik, wstawiając przydział 1000 kg podroby dla szpitala. Dopiero wówczas referent otrzymał zlecenie i pojechał do zakładów mięsnych. Ale minęła już dawno godzina, 12.00, czyli było po terminie, dlatego też zamiast 200 kg fiaków otrzymał 80 kg

serca. Takie są przepisy, do godz. 12.00 zakłady muszą upłynić towar. Wynikła stąd jeszcze jedna nieprawidłowość, związana ze specyficznymi warunkami leczenia w Wojewódzkim Szpitalu Przewodniczącym.

Otóż jadłospis jest tu tak ułożony, że ta sama porcja w ciągu trzech tygodni nie może się powtarzać. Tymczasem zamiast fiaków były serca, czyli porcja powtórzyła się...

I to było wszystko. Ale nasuwa się jeszcze kilka uwag. Smutne jest to, że dopiero interwencja Instancji partyjnej poruszyła zatwardziały mózgami biurokratów z PZGS, którzy myślał pewnie, że skoro leczenie w naszym kraju stało się bezpłatne i ogólnie dostępne, to chorzy mogą być karmieni jak najtaniej. Szpital nie jest jednostką dochodową, tymczasem PZGS w dziwny sposób „stara się” szukać 20 miliardów, doprowadzając do tego, że dwaj pracownicy tego szpitala przez sześć godzin tłuką się po mię-

cie, spalają niepotrzebnie benzynę, tracą czas i państwowe pieniądze, gdy tymczasem jest wiele pilnych spraw do załatwienia, np. sprowadzenie butli z tlenem, których brak w szpitalu przeciwgruźliczym jest nie do pomyślenia. A przecież sprawę można było załatwić w ciągu godziny...

I jeszcze jedno. Czy nie można w jakiś inny sposób zabezpieczyć przydziału podroby dla szpitala i czy referent ma załatwiać te wszystkie kłopotliwe sprawy osobiste, jak to mu doradzono? Po co w takim razie przysiaduje się wiele urzędników stołków w PZGS?

Szpital od czterech lat pobiera podroby i nigdy nie było kłopotów. Zmieniło się kierownictwo PZGS i kłopoty są. Tymczasem, nie to nie jest tłumaczeniem. Pozostaje bowiem słodka tajemnica, jakimi drogami podroby przeznaczone dla szpitala miały trafić do prywatnych agentów...

RYSZARD BINKOWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAR (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PAŁUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

SAMI DLA SIEBIE

Dalszy ciąg ze str. 1

— Te przykłady rodzą wątpliwość, czy istniała konieczność wprowadzania zmian w modelu samorządu?

— Życie do tego zmusiło. Przede wszystkim dlatego że bardzo szybko rosła miasto, powstają i działają wielkie aglomeracje miejskie. W najbliższych 20 latach mamy podwoić istniejące zasoby mieszkaniowe, i te fakty powodują konieczność zbliżenia władzy do społeczeństwa. To może dokonać się tylko w jeden sposób — poprzez coraz większy rozwój inicjatywy i aktywności społecznej samych mieszkańców, którzy powinni nie tylko widzieć swoje problemy i potrzeby, ale również współuczestniczyć w ich rozwiązywaniu.

Właśnie te czynniki wpłynęły na rozszerzenie statutu samorządu.

— Jakie są najistotniejsze zmiany?

— Przed samorządem postawiono nie tylko szeroki zakres zadań, ale dano mu również poważne uprawnienia. I to jest bardzo ważne. Samorząd będzie mógł kontrolować pracę administracji domów, opiniować jej plany, a szczególnie plany remontów, będzie mógł kontrolować pracę placówek handlowych, gastronomicznych, usługowych, a przede wszystkim wpływać na racjonalne zagospodarowanie terenu swojej działalności. Samorząd będzie więc współpracować z agendami prezydentów rad narodowych w sprawach związanych z wyposażeniem i działalnością placówek służby zdrowia, kulturalnych, oświatowych i sportowych znajdujących się w zasięgu jego działania. Samorząd jako reprezentacja ogółu mieszkańców, będzie przedkładał postulaty i propozycje ludności władzom dzielnic i miasta, będzie również ściśle współpracował z radnymi, reprezentującymi dany okręg wyborczy.

— Wspomniał Pan o zadaniach, jakie postawi się przed nowo wybranymi członkami samorządu. Jaki będzie zatem zakres ich działalności?

— Uchwała Biura Politycznego KC PZPR główne zadanie samorządu precyzuje w następujący sposób: „Samorząd mieszkańców powinien kształtować poczucie wspólnoty osiedlowej i współodpowiedzialności obywatelskiej za wspólne dobro i miennie mieszkańców osiedla. Związane to jest z kształtowaniem się stosunków pomiędzy mieszkańcami, z przestrzeganiem socjalistycznych zasad i norm współżycia społecznego, z utrzymaniem porządku, czystości i spokoju w miejscu zamieszkania, z organizowaniem różnorodnych prac i działań służących zaspokajaniu wspólnych potrzeb.”

Uchwała ta spowodowała ukazanie się aktu prawnego, który wydała Rada Państwa i który staje się podstawą dla działalności przyszłego samorządu. Oba te dokumenty precyzują szeroki zakres działania, wymagający od aktywistów samorządu nie tylko inicjatywy, ale i umiejętności organizacyjnych, nawiązywania kontaktu z ludźmi, wyszukiwania tych, którzy będą przydatni w społecznym działaniu. A przecież w każdej społeczności wiele jest do załatwienia. I samorząd będzie musiał zająć się tym wszystkim. Myślę tu o takich sprawach jak: wychowanie, organizacja wolnego czasu, opieka, rozstrzygnięcie sporów sąsiedzkich. Weźmy choćby tylko sprawy kulturalne. Przed samorządem mieszkańców postawiono teraz zadanie prowadzenia działalności popularyzatorskiej i politycznej wśród mieszkańców nie pracujących zawodowo i nie uczących się. Samorząd będzie organizował czyny społeczne, a także zajmował się wielkimi kampaniami politycznymi i narodowymi, na przykład wyborami do Sejmu PRL i do rad narodowych.

— Będzie to wymagało dużego zaangażowania i dużego doświadczenia społecznego. Znamy przecież przykłady i takich komitetów domowych, których jedyną troską był trawnik przed blokiem.

— Toteż nie bez powodu mówiłem o potrzebie działania dużej liczby aktywistów. Liczymy na to, że w samorządzie znajdą się przede wszystkim ci, którzy już sprawdzili się w dotychczasowej społecznej pracy, i że będą oni służyć swoim doświadczeniem

ludziom, którzy dopiero co rozpoczną tę działalność. — Ale będzie to zupełnie inny samorząd niż był do tej pory.

— Tak, ale samorząd mieszkańców będzie integrował działalność wielu organizacji i będzie w swojej pracy opierał się na aktywne tych organizacji. W ramach samorządu będą więc działać aktywiści FJN, terenowych grup partyjnych, organizacji młodzieżowych, ORMO, Ligii Kobiet i innych. Istotnie będzie to inny samorząd, gdyż staje się on przedłużeniem rady narodowej. Działalność samorządu przestaje teraz być aktem dobrej woli mieszkańców, staje się obywatelskim obowiązkiem. Powołanie samorządu w takiej właśnie formie jest konsekwencją dotychczasowej działalności partii, jest dalszym krokiem w rozszerzaniu i umacnianiu demokracji socjalistycznej.

— Zmienia się nie tylko istota samorządu, zmienia się także jego struktura. Na czym będzie polegała ta zmiana?

— Do tej pory mieliśmy komitety domowe i blokowe. Teraz powoła się komitety osiedlowe, obwodowe i domowe. Komitet osiedlowy będzie obejmował swoją działalnością część miasta, która tworzy naturalną całość ekonomiczną i społeczną oraz która pokrywa się z okręgiem wyborczym do dzielnicowej rady narodowej. Komitet obwodowy natomiast będzie działał w obrębie bloku, ulicy albo zespołu budynków o liczbie mieszkańców w zasadzie nie przekraczającej 3 tysięcy i w granicach w miarę możliwości pokrywających się z obwodem głosowania do dzielnicowej rady narodowej lub stanowiącej jego wielokrotność. Komitety domowe obejmą swoją działalnością pojedyncze domy lub zespoły małych domów. O ich powołaniu decydować będą komitety osiedlowe bądź obwodowe. Dla przykładu mogę podać, że w śródmieściu przewidujemy powołanie 28 komitetów obwodowych, na Bałutach — 5 osiedlowych, a na Górzej — prawdopodobnie jeden komitet osiedlowy. Dojdą do tego oczywiście komitety obwodowe i domowe.

— Ile członków będą liczyły takie komitety?

— Osiedlowy od 25 do 40 członków. Obwodowy — od 15 do 25, a domowy — nie mniej niż 3 osoby. Wybiera się takie komitety na okres dwu lat.

— Komitetom obwodowym i osiedlowym trzeba będzie zapewnić odpowiednie pomieszczenia.

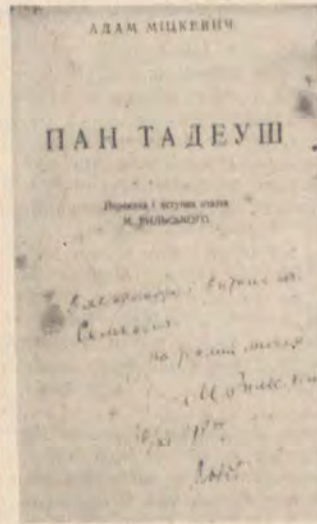
— Będzie z tym trochę kłopotu, ale prezydium dzielnicowych rad narodowych będą musiały poszukać na swoim terenie odpowiednich pomieszczeń, w których mogłyby dyżurować członkowie prezydium komitetów, a także członkowie poszczególnych komisji, które będą działały w ramach każdego komitetu obwodowego i osiedlowego.

— Nowa struktura samorządu mieszkańców wygląda w zarysie interesująco, ale obawiam się, że przy takim ogromie zadań i przy tak poważnej roli do spełnienia nawet najlepiej pracujący komitet napotka wiele trudności i to głównie ze strony instytucji, z którymi ma współpracować i działalność których ma kontrolować. Czy podziela Pan tę obawę?

— Myślę o tym. Właśnie dla tych instytucji, które mają współpracować z samorządem ministerstwa przygotowują odpowiednie przepisy wykonawcze. A my ze swej strony, tuż po wyborach przeprowadzimy wspólne szkolenie dla przedstawicieli samorządu mieszkańców i dla pracowników tych instytucji, o których pani myśli.

Proszę nie zapominać, że każda nowa rzecz budzi na początku wątpliwości i wymaga czasu na znalezienie najlepszej i najskuteczniejszej formy działania. I proszę nie zapominać, że mamy w Łodzi pewne doświadczenia, które niewątpliwie pomogą w pierwszym okresie działania nowego samorządu. I wreszcie musimy pamiętać również i o tym, że jest to nasza praca dla nas samych. To powinno być najskuteczniejszym bodźcem.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



Początkowe stronicie kijowskiej edycji „Pana Tadeusza” w przekładzie Maksyma Rylskiego z dedykacją tłumacza dla Aleksandra Semkowicza.

Autograf Rylskiego ukazuje się w druku po raz pierwszy.

Nowe materiały o Maksymie Rylskim — w dziewiątej rocznicy śmierci

24 lipca 1964 roku zmarł jeden z twórców współczesnej poezji ukraińskiej Maksym Rylski. Poeta maximus — tak nazwał go przed laty przyjaciel, literat i uczyony Mikołaj Zerow, żartobliwie nawiązując do imienia „Maksym”. Czas nie tylko potwierdził trafność tej opinii, lecz także ją uzupełnił. Maksym Rylski to również interpretes maximus — „wielki tłumacz”. Tytuł ten należy mu się przede wszystkim bodaj od nas, Polaków, za liczne i piękne przekłady naszych poetów, zwłaszcza za znakomite odtworzenie w języku ukraińskim „Pana Tadeusza”.

Pierwsza redakcja tłumaczenia arcyepoematu Mickiewicza wyszła spod pióra Rylskiego w r. 1927 w Kijowie. Jej walory zauważone zostały zarówno na Ukrainie, jak i w Polsce. Wybitny literaturoznawca, profesor i Członek Rzeczywisty Akademii Nauk USSR, Aleksander Biłcki, nazwał przekład Rylskiego „wzorowym”, stawiając go na pierwszym miejscu w rzędzie „wierszowanych przekładów klasycznych [...] dzieł poetów zachodnioeuropejskich i słowiańskich”, których w tym czasie ukazało się wiele. Zdaniem Biłckiego, tłumaczenie owo należy do dzieł, „którymi śmiało szczyścić się może literatura ukraińska” i które wejdą do niej na stałe „jako wysokowartościowe osiągnięcie słowa ukraińskiego”.

„Doskonałym przekładem”, najlepszym z dotychczasowych tłumaczeń ukraińskich, nazwał pracę Rylskiego Włodzimierz Doroszenko w artykule nadesłanym do redakcji „Kamieny” ze Lwowa. Przekład „Pana Tadeusza” pióra Rylskiego [...] określono mi jako kongenialny” informował Tadeusz Hollender Kazimierza A. Jaworskiego w przeddzień wyjścia w świat Mickiewiczowskiego numeru „Kamieny” (1934 r.).

W ciągu czterdziestu lat Rylski raz po raz powracał do pracy nad przekładem „Pana Tadeusza”. Trud jego ukoronowany został słowami najwyższego uznania oraz wysokimi nagrodami i odznaczeniami — zarówno ze strony polskiej, jak i radzieckiej — jednak wyniki jego nie zadowolili tłumacza. U schyłku życia podsumuje swe myśli na ten temat w słowach pełnych zadumy i rezygnacji:

„Przeglądając i gdzienigdzie poprawiając swój przekład „Pana Tadeusza” do nowego wydania, czuję, że gdyby stał się cud i powrócił do mnie młodość, to całą pracę rozpocząłbym od nowa i wykonałbym ją po nowemu.

Cudów nie ma. Posyłam więc swe tłumaczenie pomiędzy ludzi, trochę je tylko, w miarę swoich sił, wygładziwszy”.

TŁUMACZ I JEGO POLSCY sympatycy

Wśród pierwszych ocen tłumaczenia Rylskiego znajduje się opinia znanego bibliofila i bibliografa, introligatora-artysty i zbieracza dzieł Mickiewicza, Aleksandra Semkowicza (1885-1954). Wypowiedź Semkowicza, dotychczas zupełnie nie znana, odnosi się do wydania z r. 1927, a odnaleziona została w jego archiwum i udostępniona autorowi niniejszego artykułu przez kustosa biblioteki Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, P. mgr Halinę Natuniewicz. Oto treść tego dokumentu:

„Świętym przekład Maksyma Rylskiego, wydany w radzieckiej Ukrainie, staje godnie w rzędzie doskonałych przekładów słowiańskich Krasnohorskiej i Maretića. Tłumacz operuje bogactwem języka, jakiego trudno by się doszukać u tłumaczy galicyjskich [pierwsze tłumaczenia fragmentów „Pana Tadeusza” ukazały się przed pierwszą wojną światową na terenach ówczesnej Galicji — Z. G.]. Tłumaczy „Pana Tadeusza” wierszem aleksandryjskim, najbardziej zbliżonym do miary oryginalu”.

W bibliotece Warszawskiego Muzeum Literatury natrafiłem na kijowskie wydanie „Pana Tadeusza” w przekładzie Rylskiego z r. 1927. Otworzyłem książkę — i w oczy rzuciła mi się serdeczna dedykacja, napisana przybyłym atramentem: „Aleksandrowi Antonowycz Semkowyczu na ciepły spohad M. Rylskij, 30. XI. 40 Lwiv” co można by w przybliżeniu przetłumaczyć: „Aleksandrowi Semkowiczowi w dowód pamięci i życzliwości M. Rylski, 30. XI. 40 Lwów”.

A więc Semkowicz znalazł Rylskiego i otrzymał od niego tę książkę we Lwowie w r. 1940. Po śmierci Semkowicza, założyciela i pierwszego dyrektora Muzeum Adama Mickiewicza, księgozbiór jego zakupiony został przez Muzeum w 1955 r.

Trudno określić, kiedy Semkowicz nawiązał osobisty, bądź listowny kontakt z poetą ukraińskim. Na podstawie materiałów archiwalnych, zakupionych niedawno przez Muzeum Literatury (dawne Muzeum Adama Mickiewicza), H. Natuniewicz wyciąga słuszny wniosek, że spotkania obu wielbicieli Mickiewicza na terenie Lwowa w 1940 r. „związane były [...] z akcjami mickiewiczowskimi Semkowicza”, który zorganizował „właśnie w listopadzie tegoż roku (proszę zwrócić uwagę na datę dedykacji — 30 listopada!) — Z. G.) wystawę Mickiewiczowską”. W tym czasie Semkowicz wystąpił we Lwowie na sesji naukowej Akademii Nauk USSR z wykładem „Dziela Mickiewicza w rodzinie narodów słowiańskich”.

I na zakończenie jeszcze jedna rzecz — drobna, lecz jakże zmienna. W tej bibliotece Muzeum Literatury natrafiłem na inną edycję „Pana Tadeusza” Rylskiego — egzemplarz wydany po ukraińsku w Warszawie w r. 1934 nakładem Ukraińskiego Instytutu Naukowego. Egzemplarz ten pochodzi z księgozbioru Marii Dąbrowskiej, złożonego w darze po śmierci pisarce i wykonanemu Muzeum Mickiewicza.

ZYGMUNT GROSBART



CZYTELNIK A WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Wydawnictwo Łódzkie nie należy do instytucji wydawniczych ujawniających zainteresowanie stopniem wykorzystania swoich publikacji w czytelnictwie poszczególnym. Mimo upływu lat i poważnego dorobku nie zleca, ani nie inspirowała w tym zakresie. Nie współpracuje też z placówkami kulturalno-oświatowymi konkursów, z których wnioski mogłyby chociaż częściowo przyczynić się do rozeznania w stosunkach: między czytelnictwem — Wydawnictwem Łódzkie. Trud taki podjęła w 1968 r. Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego. Badania przeprowadzone przez Dział Instytucyjno-Metodyczny i opublikowane w „Osnowie” (wiosna 1969) objęły wykorzystanie po-

zycji Wydawnictwa Łódzkiego z lat 1957-1967 w 20 wytypowanych rejonowych bibliotekach dla dorosłych i w dzielnicowych. Z analizy tych wyliczeń zostały księżki dla dzieci i tzw. popularne „samograjki czytelników” tj. wydane przez WL powieści Dumasa, Rodziewiczówny, Gąsiorowskiego. Nie powracając ze zrozumiałych względów do szczegółowych wyników należy jednak przypomnieć, iż dokumentacja biblioteczna wykazała w kategorii ilości wypożyczeń b. dużą poczytność takich utworów pisarzy z Łodzi jak: „Człowiek jest nagi” Grzegorza Timofiejewa, „Magdalena w nocy” Tadeusza Papiera, „Szkola dwóch dziewcząt” Tadeusza Chrościelewskiego, „Przy szabasowych świecach” Horacego Saffra, „Lato po wojnie” Wacława Biłńskiego, „Córka tego co tramwaje jeździ” Honoraty Chrościelewskiej, „Odejsie” Wandy Karczewskiej, „Ucieczka” Leona Gomolickiego i „Trzystu pod Dobrą” Władysława Rymkiewicza.

Następna pozycja w poczytności książek WL zajęły wtedy powieści historyczne pisarzy pozalódzkich Bogusława Sujkowskiego i Kazimierza Bierońskiego oraz reportaże Wandy Falkowskiej.

W literaturze naukowej, dokumentalnej, pamiętnikarskiej wybiła się tematyka regionalna i z II wojny światowej.

Podjęta ostatnio w ramach pracy dyplomowej na Studium KOIB analiza badawcza dostarczyła informacji o zainteresowa-

niach i potrzebach czytelników łódzkich w odniesieniu do dorobku Wydawnictwa Łódzkiego z lat 1968-71 (łącznie ze wznawianymi). Mimo, iż z materiałów pochodzących z czterech największych bibliotek rejonowych dla dorosłych dzielnicy Górna, obserwacje bibliotekarzy z niektórych placówek w innych dzielnicach pozwalają na uogólnienia. W przedłożonej grupie najpoczytniejszych książek WL z tego okresu znalazły się (w drugich wydaniach) „Magdalena w nocy” Papiera, „Bateria została” Apoloniusza Zawilskiego, „Córka tego co tramwaje jeździ” Chrościelewskiej oraz teże autorki „Lekki więcej nie będzie”, utwory Edwarda Kopczyńskiego — „Intruz”, „Kłusownik chodzi nocą”, „Drogi łączą się w lesie”. Z pisarzy spoza Łodzi powtórzony się nazwiska Sujkowskiego (Miasto przebudzone i Lisowcyzy) i Bierońskiego (W służbie złotego lwa) i doszedł Jerzy Afański (Mam w nosie lorda, proszę pana, Okno Zbyszka Cybulskiego). W drugiej kolejności w literaturze pięknej dużą ilość wypożyczeń przypada na utwory pisarzy z Łodzi związanych. Są to Jerzego Wawrzaka „Nietutejszy”, Andrzej Makowiecki „Przenis na wymiane twarzą”, Jana Huszczy „Sep Sybiru”, „Pan Gracjan i inni” Zygmunta Filasa, „Twarz do tyłu” Wiesława Jędrzejewskiego, „Nie ma powrotu”, Heleny Duninówny „Na wleczyć swego życia...”, Tadeusza Chrościelewskiego „Zjazd koleżeńskich”, Ewy Ostrowskiej „Ptaki na nie-

bie”, Ludwika Świeżawskiego „Muza Iaskawa”, Wandy Karczewskiej „Linia światła”, Mariana Piechała „Pelagia, uzenenica diabła”, Romana Łobody „Cena miłości”, Henryka Czarnieckiego „Profesor na drodze”, „Kiermasz” Leona Gomolickiego.

Silne zainteresowanie budzi nadal w literaturze niebeletrystycznej tematyka łódzka. Stąd duże wykorzystanie trzech książek Jerzego Urbankiewicza i takich pozycji jak: Władysława Bortnowskiego „Ziemia łódzka w ogniu”, Duninowa „Kwiaty wśród dymów”, Badziak, Czapliński, „Synowie Bałut”, Anna Rynkowska „Ulica Piotrkowska”, Stanisław Kaszyński „Teatr łódzki w latach 1945-62”, Zdzisław Koniecki „Dziwy nad Łódką”.

Również nadal przez czytelników poszukiwane są książki związane z okresem II wojny światowej np. wspomnienia Tadeusza Witowieckiego „Od Gozienia do Tobruku”, Tadeusza Raźniewskiego „Chee żyć”.

Po tomki poetyckie publikowane przez Wydawnictwo Łódzkie niestety b. rzadko sięgały nasi czytelnicy. Wyłatek stanowią tu jedynie „Rymy” Sztandyngera.

Sądzić należy, iż na fall aktualnego zainteresowania wszystkim co łódzkie i ta informacja zainteresuje redakcję i Czytelników „Odgłosów”.

ZABELA NAYOSKA

Łódź

Wielokrotnie namawiano artystę, aby spisał swoje wspomnienia; przez wiele lat nie myślał jednak o tym, by się do tego zabrać. Henryk Sztompka w swej książce o Arturze Rubinsteinie, wydanej w 1966 roku pisał, że „świat domaga się od artysty pamiętników, wielkie firmy wydawnicze ofiarowują mu za to ogromne sumy. Rubinstein nie wykazuje dla tej idei większego zapatu, który by nam obiecywał zaspokojenie naszej ciekawości”. A jednak zdecydował się na spisanie pamiętników.

Najpierw, przed kilkoma laty, był biograficzny film o jego wielkiej karierze, potem monografia artysty, wydana w Związku Radzieckim. Wreszcie na przełomie wiosny i lata bieżącego roku, jednocześnie na witrynach księgarń Nowego Yorku i Paryża pojawił się obszerny, liczący ponad sześćset stron tom: Artur Rubinstein — Dni mojej młodości. Artysta napisał go po angielsku doprowadzając na razie tylko do pierwszej wojny światowej.

Liczący sobie dziś osiemdziesiąt siedem lat odznacza się naprawdę fenomenalną pamięcią, nie myśli nawet o wycofaniu się z czynnego życia koncertowego: w maju dał się słyszeć w Paryżu w IV Koncercie Ludwika van Bethovena.

Wspomnienia wielkiego pianisty stały się rewelacją: jego błyskotliwa kariera, kontakty z największymi muzykami ostatnich kilkudziesięciu lat, rozliczne przygody, w których nierzadko mu się być także pod wozem, opisane z wercją i humorem znajdują gorliwych czytelników w całym świecie. Nas Polaków urzekła przede wszystkim polski klimat wspomnień pianisty, świadectwa jego ścisłych związków z krajem, w którym się urodził, z polskim światem artystycznym, wreszcie z miastem w którym przyszedł na świat — Łodzią.

Nim któryś z naszych domów wydawniczych udostępni tę książkę po polsku — a niewątpliwie powinno to nastąpić — wybieramy z niej kilka fragmentów.

Śpiewała — naśladować odpowiednio głosem — wszystkich dźwięków, jakie usłyszałem. Rozbić tym prawdziwą sensację wśród domowników. Po chwili szybko przerodził się w zabawę: każdy pragnął uczyć mnie swoich piosenek. Nauczylem się więc charakterystycznych ludzi przy pomocy ich muzyki.

— Kto dał ci to ciastko? — pytała mnie na przykład matka. Ja zaś śpiewałem: Ah, a, a, a i matka z zadowoleniem przytakując głową mówiła: widać, że ciocia Lucia.

Jest w Polsce pewien rodzaj ciastek, które zwa się mazurki, więc aby je dostać, śpiewałem... bardzo popularnego mazurka. Grałem te role ludzkiej papugi przez mniej więcej dwa lata, póki nie nastąpiło doniesienie wydarzenia, które zbulwersowało moje życie. Rodzice kupili pianino, przy którym dwie moje starsze siostry, Jadwiga i Hela, zaczęły pobierać lekcje. Byłem tak zniechęcony powiastaniem się i wyglądem tego boskiego instrumentu, że odłączyłem się od niego.

Jedyną moją bronią były lzy i wrzaski, ale posługiwalem się tym orężem dyskretnie, tylko wówczas, kiedy starano się usunąć mnie z pokoju. Najstarsza siostra, która była już zaręczona i miała wyjść za mąż, uczyla się grać na

rozbić w drobny mak, ryzykując w zamian lanie. Uczynił jeszcze jeden wysiłek, aby mnie przekonać o wyższości tego szlachetnego smyczkowego instrumentu, ale jego niepowodzenie było całkowite. Tym, czego instynktownie poszukiwałem, była polifonia, harmonia, nie zaś walty i samotny dźwięk skrzypiec, tak często nie zestrojony i zawsze zależny od akompaniatora.

To zadziwiające — odkrywam to po tylu latach — jak jasny jest utrwalaony w mej pamięci obraz tych dni dzieciństwa! Wciąż mógłbym narysować na kartce rozkład naszego mieszkania, żywo przypominam sobie, jak o rano moi bracia i siostry zrywali się z łóżek i biegiem ruszali do szkoły, zawsze zbyt późno, i te stopy kanapek, które im przygotowywała matka ze służącą. Ustawicznie krzykliwi i galopowali, kłócili się i zapominali o swoich sprawach — można rzec: prawdziwa armia wyruszająca na wojnę. A potem — zupełna cisza. Zostawałem sam na sam z moim fortepianem.

Kiedy miałem trzy i pół roku i trwałość mojej pasji stała się widoczna, rodzice zdecydowali się coś uczynić wobec uciążliwych, które objawiałem. Wuj Nathan Follmann, który doskonale znał niemiecki, napisał do Józefa Joachima, naj-

grzeczniej żądało paszportów. Rosja i Turcja były wówczas jedynymi krajami w Europie, które wymagały tego rodzaju dokumentów. Byłem przerażony, zdawało mi się, że zaraz zaprowadzą nas prosto na szubienicę. Ów rodzaj nerwowego strachu nigdy już mnie nie opuścił, ilekroć przychodziło mi przekraczać rosyjską granicę.

W Berlinie zatrzymaliśmy się u ciotki Salomei Meyer, która była mi drugą matką i potrafiła stworzyć mi wrażenie odnalezienia u niej prawdziwego domowego ogniska. Jedynie wspomnienia, jakie zachowałem z Berlina, tyczą się tramwajów i wind, chodników ułożonych z mozaiki ciemnych i białych kamieni, czystości ulic i domów, a zwłaszcza braku fabrycznych kominów i syren, właściwych naszym fabrykom. Przechowuję swoją fotografię jako czteroletniego chłopca w towarzystwie mojej małej ślicznej kuzynki Fanny Meyer, która zawsze przypomina mi tę pierwszą wycieczkę w tym mieście.

Rankiem zaprowadzono mnie do profesora Joachima, który oczekiwał nas w swoim salonie. Sławny mistrz miał około



DZIECIŃSTWO

Zawdzięczam życie swej ciotce Salomei. Byłem siódmym dzieckiem z rzędu i przyszedłem na świat w osiem lat po moim poprzedniku, rodzice wcale mnie nie pragnęli i bez entuzjastycznej perswazy ciotki Salomei pewnie nie wrócilibym do tej doliny płaczu. Moi rodzice mieszkali w Łodzi, w mieście znajdującym się wówczas pod panowaniem rosyjskim. Położona w pobliżu Warszawy była ona ogromnym i nowym miastem, drugim co do znaczenia w Polsce. Około połowy XIX wieku ear Mikolaj I pragnął utworzyć nowoczesny przemysł włókienniczy i bawełniany, zaprosił niemieckich mistrzów tkackich ze Śląska, aby osiedlili się w tej małej wiosce, która nosiła imię Łodzi (...).

Polacy okazali nikłe zainteresowanie dla tej ogromnej szansy, jaka się tu otwierała. Interesy ich nie pociągaly; ich umiłowani zajęciami było rolnictwo, nauka, sztuka. Jednakże ściągali tu tysiące chłopów, aby szukać pracy w fabrykach.

Mój dziad Heyman był jednym z pierwszych, którzy poszukiwali swojej szansy w tym nowym mieście. Odnosił sukces. Utworzył rodzinę złożoną z dwóch synów i ośmiu córek, z których moja matka była najstarsza. Ojciec mój przybył z kolei z Pułtuska, miasta na północy kraju, założył niewielki zakład rzeźniczy kłania sukna i poślubił moją matkę. Bardzo szybko, jedno po drugim dorobili się sześciorga dzieci, trzech córek i trzech synów, po których — w osiem lat później — 28 stycznia 1887 roku — jako późniejszy i raczej niechciany gość zadzwoniłem do wrot życia.

Jak mi opowiadano, matce niezmiernie trudno przyszło wydać mnie na świat, ale widać doczekała, bo było jeszcze

więcej przeszkód, by mi odrządzić głośne wiargnięcie do tego padolu łez. Nie wiem z jakiego powodu, zapewne sentymentalnego, miano mi nadać imię Leo, ale mój brat Ignacy, który miał już osiem lat, gwałtownie zaprotestował i wykrzyknął:

— Trzeba go nazwać Artur! Ponieważ Artur X. (syn sąsiada) gra dobrze na skrzypcach, może i mój braciśzek zostanie kiedyś muzykiem!

Mieliśmy piękne, przestronne i słoneczne mieszkanie — na głównej arterii miasta — ulicy Piotrkowskiej. Powierzono mi ja osobę troskliwej prawdziwej matki — imieniem Tekla, która była mi bardzo oddana. Jak mi opowiadano, złapano ją później na kradzieży i wtrącono do więzienia. Na myśl, że być może wraz z jej mlekiem wysłałem nieco jej wad — chociaż przyszłość potwierdziła znikomość tej trwogi — wpadłem w takie przerażenie, że nigdy nie nie ukradłem — aż do dzisiaj.

Swoje pierwsze wrażenia muzyczne zawdzięczam ponuremu i przejmującemu wycielu fabrycznej syreny, która sto-kroć razy budziła o szóstej rano robotników, gdy miasto było jeszcze pogrążone w mroku. Rychło pojawiła się jednak bardziej przyjemna strawa muzyczna w postaci Cyganów, którzy pojawiali się na podwórzu naszego domu, wraz ze swymi ustrojonymi, małymi malpkami, aby śpiewać i tańczyć. Podczas gdy tak zwany człowiek — orkiestra przgryzował na wielu dziwnych instrumentach. Oprócz tego były jeszcze zaśpiewy handlarzy starych żydowskich ubrań, sprzedawców rosyjskich lodów oraz polskich chłopów, którzy wyśpiewywali pochwały swych jaj, jarzyn i świeżych owoców. Uwielbiałem wszystkie te halasy i zawsze byłem gołęb do wy-

forieplanie, aby dopełnić świetności swej edukacji. Każde słowo, każda uwaga wypowiedziana przez profesorkę Jadwigę, grubą panią Kijańską, znajdowały we mnie najwłaźniejszego słuchacza. Coż to była za rozkosz, kiedy uderzała ma siostrę po rękę, gdy ta brała fałszywą nutę! Czasami, kiedy siostra w nauce popełniała jakiś błąd, sam już jałem wymierzać jej klapsy. Na poly dla zabawy, wpoł serio, nauczyłem się rozpoznawać klasyczne wedle ich nazwy i potrafiłem odwrócić się z plecami od instrumentu, wymieniać dźwięki każdego, nawet najbardziej dysonancyjnego akordu. Od tej pory moja dziecięca zabawa stała się poskrupowanie skomplikowania klawiatury. Rychło nauczyłem się, najpierw jedną, potem obu rękami, grać każdą melodię, jaka mi wpadła do ucha. Zdarzało mi się zajmować miejsce siostry i grać na czterech rękach z panią Kijańską. W odpowiedniej chwili zatrzymywałem się uroczyście, aby odwrócić stronę nut, udając że naprawdę potrafię je czytać.

Zrozumiałe, że to wszystko nie mogło nie pozostać bez wrażenia na członkach mojej rodziny, w której nikt — moje to dzisiaj poświadczenie — ani dziadkowie, ani wujowie, ni ciotki, nie miał najmniejszych zdolności do muzyki. Najpierw ich to bawiło. Potem jeli się czuć mile polechtani, odnajdując we mnie tak widome oznaki uzdolnienia.

Mój ojciec miał upodobanie do skrzypiec, które uważał za instrument bardziej subtelny, bardziej dystyngowany od fortepianu. Do tej jego opinii przyczyniło się zapewne także powodzenie licznych cudownych dzieł. Ofiarował mi w prezencie liche, małe skrzypce, których nie omieszkalem

sławniejszego skrzypka swego czasu i ówczesnego dyrektora Królewskiej Akademii Muzycznej w Berlinie. Szczegółowo opowiedział o mnie i spytał go o radę, co należy zrobić wobec takich uzdolnień. Profesor Joachim odpowiedział bardzo życzliwie: nie nie robić przed szóstym rokiem życia, — napisał — a potem radził oddać mnie w ręce dobrego pedagoga. „Jeśli mógłby pan spowodować przyjazd tego dziecka do Berlina, rad byłbym je zobaczyć” dodał na koniec, co całą rodzinę wprawiło w poruszenie. Wielki Joachim okazał zainteresowanie dla małego Arturka!

Ważono i rozpatrywano rozmaite plany. Ostatecznie zdecydowano udać się do Berlina. Narzeczonym mojej siostry Jadwigi był młody, zdolny handlarz wełny, z gatunku wysoch, przystojnych brunetów, nazwiskiem Maurycy Landau. Staral się on podbić serce swej wybranki, często obdarzając mnie bardzo kosztownymi zabawkami. Rodzice pragnęli, aby wyprawa ich najstarszej córki została uszyta w stolicy Niemiec i stwarzało to doskonałą okazję po temu, aby matka wraz z siostrą mogły mnie tam zabrać.

Wyjechałszy w kilka dni później. Jedynie, co zapamiętałem z tej podróży, była to rosyjsko-niemiecka granica, do której dotarliśmy w samą północ. Złowrog dźwięk dzwonu wyrwał nas brutalnie ze snu. Matka niespokojnym gestem kazała mi być cicho. Po krótkiej chwili wtrągnęło do przedziału trzech brodatych rosyjskich żandarmów, zbrojnych w pistolety i długie szable, w brzęczących ostrogach przy długich butach i nie-

sześćdziesięciu lat, był wysoki, budowy raczej ciężkiej, o twarzy niemal schowanej pod artystyczną siwą grzywą; nosił okrągłą brodę, gęste wasy, bokobrody i miał bardzo krzaczaste brwi. Nawet jego ogromne uszy zdobiło bujne owłosienie. Zrazu przestraszył mnie swoim jaskiniowym basem, ale jego wdzięk i łagodny wyraz oczu od razu dodały mi otuchy. Józef Joachim bynajmniej nie zwrócił uwagi na długi, szczegółowy opis moich talentów, jaki rozwinęła przed nim moja siostra. O wszystkim chciał się przekonać osobiście, a że nie dowierzał cudownym dzieciom, począł badać mnie od stóp do głów, jak lekarz czyni to ze swym pacjentem.

Następnie kazał mi głośno określać dźwięki całej kupy skomplikowanych akordów, które brał na fortepianie. W ten sposób, oprócz innych, miała się potwierdzić doskonałość mojego słuchu. Na koniec — jak sobie przypominam — kazał mi zagrać, zaciwwszy go wpiery, wspaniały drugi temat z Niedokończonyj Symfonii Schuberta. Musiałem odnaleźć właściwe akordy i przetransponować melodię do innej tonacji.

Skoro wykonałem już to wszystko w zadowalający sposób, profesor Joachim podniósł mnie z ziemi, ucałował i dał mi wielki kawał czekolady. Chwilę później rzekł do matki i do Jadwigi:

— To dziecko będzie zapewne wybitnym muzykiem — niewątpliwie posiada ono talent. Dajcie mu słuchać dobrego

śpiewu, ale nie nakłaniajcie go do muzyki na siłę. Kiedy nadejdzie czas, by rozpocząć poważną naukę, przyprowadźcie go do mnie. Rad będę czuwał nad jego artystycznym wykształceniem.

Odjechaliśmy bardzo uszczęśliwieni, dziękując mistrzowi za jego wielką życzliwość. Piętnaście dni później, kiedy wyprawa Jadwigi była już gotowa, powróciliśmy do Łodzi, gdzie spotkało nas gorące przyjęcie. Rodzinę zelektryzowała nowina, która przepowiadała mi wielką przyszłość. Całe miasto było pod wrażeniem opinii Joachima; prasa natychmiast ogłosiła entuzjastyczne sprawozdania z naszej wizyty w Berlinie.

Cały ten raban, jaki czyniono wokół tak mało ważnej sprawy, jak moja umiejętność zagrania melodii albo odgrodzenia akordu, wydawał mi się absurdalny. Wszak na nikim nie robiły wrażenia dzieła skłoki z wysokości trzeciego prawdziwie bohaterkie, jak stopnia schodów czy to, że potrafiłem biegać szybko, jak inni chłopcy w moim wieku.

Kiedy Jadwiga brała ślub, rodzice urządzili w domu piękną żydowską ceremonię, a potem niewielka orkiestra, złożona z czterech lub pięciu muzyków, jąla przygrywać do tańca. Gdy rozpoczął się pierwszy taniec, dźwięki muzyki podnieciły mnie do tego stopnia, że wgramolłem się na krzesło dyrygenta i począłem gestykulować jak szalony, póki nie spadłem na ziemię, kończąc swą produkcję wielkim guzem na głowie i krwawieniem nosa. Widać nie było mi przeznaczone, abym został dyrygentem.



MUZYKA

W naszym mieście utworzyliśmy z przyjaciółmi Kolo Miłośników Piosenek. Słuchamy płyty, czytamy artykuły poświęcone muzyce rozrywkowej, dyskutujemy, organizujemy wspólne wycieczki na ciekawe koncerty itp. Ostatnio zainicjowaliśmy dyskusję n.t. festiwalu piosenek w Opolu. Między innymi dyskutowaliśmy w oparciu o dostępne nam recenzje prasowe oraz o samych... recenzjach. Bardzo ni-

sko oceniliśmy zamieszczony w „Odgłosach” artykuł pt. „Opole — nie dla Ciebie Złobie”, napisany niefachowym językiem, zawierającym błędy (autor dwukrotnie pomylił się w obliczaniu punktacji) oraz, co najwłaźniejsze, będący nieudolnym podsumowaniem tego, co cała Polska obejrzała w telewizji. Jest to jeszcze jeden dowód pisania (niepotrzebnego notabene) dla ludzki tak, jakby wszyscy czytelnicy „Odgłosów” składali się ze „Złobów” (co zresztą autor sugeruje), którzy nie potrafia wyocisnąć odpowiednich wniosków z licznych przesłanek, dotyczących festiwalu, a wynikających tak jasstrawo ze zliczanego okienka. Z satysfakcją przeczytaliśmy np. w „Przekroju” znakomity festiwalowy artykuł p. Luejana Kydrenskiego, czy też, nie szukając daleko — w „Dzienniku Łódzkim” dwie opolskie (świeleny) „Parady Gwiazd” p. Andrzeja Józwiaka.

Abv pisać o czymś należy znać dobrze temat, jego specyfikę i subtelności i umieć obserwować, wyszukiwać rzeczy ciekawe, potrafić przekazać, no i mieć warsztat dziennikarski. Jednym słowem trzeba być przede wszystkim fachowcem — amato-

rów mamy dosyć. I właśnie pan Kielński jest, niestety, pełnym amatorem.

W swoim czasie dobrze pisał w „Odgłosach” p. Andrzej Makowiecki. Nie zaliczamy Go, co prawda, do fachowców muzycznych, ale jest to na pewno święty dziennikarz.

Wydaje nam się, że p. Kielński, jeśli już musi pisać (ale po co?), niech najpierw zacznie od czytania publikacji ludzi, którzy znają problematykę muzyki rozrywkowej: L. Kydryński, A. Józwiak, Z. Kiszakiewicz i kilku innych. A jeśli chce zdobyć warsztat dziennikarski, niech zacznie od czytania J. Widoka, A. Makowieckiego, K. Frejdliha i innych starszych kolegów redakcyjnych.

EWA GRZELAK
JERZY KRUK
(Turek)

PS. Jesteśmy przekonani, że listów o treści negatywnej nie zamieszczacie, ale niemniej przesyłamy te kilka zdań, traktując je jako odpowiedź na apel: „Co się Czytelnikom nie podoba w „Odgłosach”!

Pocztą literacką

ANKA Z ŁODZI: „Rosa to lzy” — „Dywan bżów pieciolistnych” — i tym podobne obrazy królują w Pani wierszach. Bardzo to pensjonarskie, nawet miłe, ale jak na poezję zbyt banalne.

ZBIGNIEW S. Z KIELC: Chyba najlepszy jest „Pó-wróć”

„Jade do domu Trochę mrokiem A trochę skrzydłem Może nawet piakiem”
Mnie się to podoba — choć na pewno grzeszy jeszcze nieporadnością, ale jest w nich coś własnego. Myślę, że warto pisać, warto nad tymi wierszami pracować, aby — jak mówił poeta — „odpowiednie dać rzeczy słowo”.

M. P. ŁÓDŹ: „W życiu napisałem tylko 4 wiersze. Trzy

z nich załączam i proszę o ocenę” — pisze Pan. Jeden z wierszy rozpoczyna się w ten sposób:

„Twórczość jest jak larwa, która draży drogę pod skorupą drzewa.”

To chyba jeszcze nie jest twórczość.

B. J. Z ŁÓDZI: Pisze Pan: „Nie myślę czytać wierszy współczesnych autorów — nie ma rymu, ani waku treści”.

Proszę Pana zrzecząc, że ani rym, ani „watek treści” nie są zawsze s.anowi o poezji. Bez rymu pisywał Jan Kaspruwicz, a u C. K. Norwida nie zawsze jemu współczesni mogli się doszukać „waku treści”. W ogóle nie są to sprawy tak proste i jednoznaczne jak Pan zdaje się uważać. A może poezja to właśnie wieloznaczność?

Pana propozycje poetyckie są — niestety — dziś już nie do przyjęcia. Nie jestem zresztą pewien czy i dawniej znalazłby Pan uznanie pisząc tak: „W Łodzi znam każdą ulicę. Każdy zaułek, każdy plac W tym mieście się

urodziłem, więc jakże bym nie mógł znać?”

J. G. Z ŁÓDZI: Ma Pan już za sobą debiut w piśmie — ale to jeszcze niewiele znaczy. Przed panem dopiero się zaczyna praca nad słowem. Dlatego trzeba się wystrzegać takich banałów jak „druga strona czasu”, „spaliśmy się z wolna”, „nikt mnie nie odnajdzie w mojej samotności”, „miłość — cierpka jak niedojrzały owoc...” Niestety Pana wiersze, choć kulturalne i zgrabne składają się z samych tego typu stwierdzeń. Są „poetyczne” — nie są jeszcze poezją.

KRYTYK



KRAKÓW

Na nadmiar dobrych przewodników nie możemy narzekać. Najczęściej są to lakoniczne foldery, rojące się od błędów. Mówię oczywiście o przewodnikach po miastach polskich. Jeśli chodzi o zagranicę, mamy sporo zwyczajnych, lecz polemych be-dekerów.

Wypada więc pochwalić Wydawnictwo „Interpress” za książkę Jana Adamczewskiego „Jesteśmy w Krakowie” w Krakowie.

Myszę, że tę publikację można uznać za wzorcową i dobrze się stało, że wydano również angielską, francuską, niemiecką i rosyjską wersję tego be-dekera. Przeraziła to cena — 75 zł. Jest to zapewne koszt odciekłej szaty graficznej i poligraficznej książki, ale jak na przewodniki (nawet tak wysokiej klasy) cena jest, delikatnie mówiąc, zbyt słona.

A jednak warto kupić tę książkę, ponieważ zawiera ona chyba wszystko o Krakowie i okolicach. Są tu plany, bardzo przejrzyste, są stare zdjęcia, bardzo piękne — jest indeks rzeczowo-topograficzny, umożliwiający błyskawiczne znalezienie potrzebnego obiektu, faktu, planu... A w ogóle książka jest po prostu pięknie wydana. Jest niemal bibliofilskim cackiem mimo, że wydano ją w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy.

O zawartości informacji już nie wspomnę, bo to przekracza ramy tej rubryki. Powiem tylko, że nie ma istotnej dla Krakowa sprawy, faktu, które by nie znalazły się w książce Jana Adamczewskiego.

Jan Adamczewski „Jesteśmy w Krakowie”, Wyd. Interpress, 1973

TAKIE BUTY

Najgłośniejszą, wznawianą książką Stanisława Brodzkiewicza jest „Taniec kogutów” — pełna humoru opowieść o Polakach i Sztokach w czasie ostatniej wojny. Spora popularność zdobył również tom „Końca świata nie będzie”.

Ostatnio ukazała się kolejna książka tego śląskiego dziennikarza i pisarza pt. „Takie buty”. Jest to już dziesiąta książka Stanisława Brodzkiewicza. Zawiera kilkadziesiąt krótkich opowiadań, zróżnicowanych tematycznie i formalnie. Są tam refleksyjne miniatury prozatorskie, nowele, groteski... Może trochę za dużo tej rozmałości jak na jeden, niespełna 300-stronicowy tom, ale jest to lektura zajmująca i godna polecenia na letnie wieczory.

Myszę, że najciekawsza jest ta część książki, której tematyka wynika z wojennych przeżyć autora. Chyba zresztą podobna jest opinia samego Brodzkiewicza, bowiem tytuł tego właśnie cyklu jest zarazem tytułem książki. Wstrząsające w tym cyklu jest zwłaszcza opowiadanie „Skłanka mleka” — opowieść o tym, jak niemiecki „ordnung” zabija zawsze w zgodzie z regulaminem.

Cykl wojenny Brodzkiewicza „Takich butów” nosi nieco inne cechy, niż humorystyczny „Taniec kogutów” — jest to, więcej chyba ponurej prawdy o wojnie, mniej zabawnych spięć — więcej mądrej refleksji. Myszę, że byłoby interesujące, gdyby autor poszerzył ów niewielki cykl o nowe utwory napisane w tym klimacie.

Stanisław Brodzkiewicz „Takie buty”, Wyd. Śląsk, 1972

POCZEKALNIA DO GAZU

Ukazało się drugie wydanie głośnej swego czasu książki Adolfa Gawalewicza „Refleksje z poczekalni do gazu”. W powodzi publikacji na temat hitlerowskich obozów zagłady wspomnienia Gawalewicza wyraźnie zaznaczają swoją odrębność.

Właściwie to cała dotychczasowa literatura na ten temat stworzona była z myślą, aby dać świadectwo, aby utrwalić ten ogrom zbrodni i zewierzenia. Nawet najwybitniejszy Borowski, ten także po prostu utrwalał tamten czas. Oczywiście siła swego talentu zrobiła to w sposób jedyny i wstrząsający. Wszystko, co po nim i przed nim napisano na temat Oświęcimia, było tylko lepsza lub gorsza kalka.

A jednak książka Gawalewicza posiada swą odrębność, choć rzecz prosta, nie sięga wyżyn literackiej ekspresji opowiadań oświęcimskich Borowskiego. Nie takie zresztą zadanie postawił sobie autor.

Gawalewicz podjął próbę wyjaśnienia obozu współczesnym. Pisze „podjął próbę”, ponieważ sam autor stwierdza, że zrozumieć oboz mogą tylko ci, którzy go przeżyli. Taką też refleksję zanotował na marginesie jednego z procesów przeciwko oświęcimskim katom, jaki toczył się w NRF, gdzie Gawalewicz występował jako świadek. „Do naprawdy w tajemniczość”, do tych, którzy istotnie rozumieją o co chodził w tym procesie należał jedynie był więźniowie i oskarżeni...”

Mimo to podjął Gawalewicz próbę wyjaśnienia mechanizmów psychicznych i kategorii moralnych „tamtego świata”. Właśnie „tamtego świata”, bowiem to, co zamknięto za drzwiami Auschwitz, było zupełnie innym światem, jakiego istnienia i mechanizmów normalny człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić. Napisał więc Gawalewicz książkę dla nas współczesnych — wstrząsającą i mądrą książkę — największej zbrodni świata.

Adolf Gawalewicz „Refleksje z poczekalni do gazu”, Wyd. Literackie, 1973

LITERATURA JENIECKA

Literatura o tematyce jenieckiej ma u nas dość bogatą bibliografię. Od niemal klasycznego „Ofiary” Sadzewicza po słynny „List jeniecki” Gałczyńskiego, od „Niewoli na wesoło” Arcta, po „Dno miski” Zielińskiego... Nawet stalagi doczekały się unikalnej jak dotąd — książki Krzemienieckiego „Pięć lat z haklem”.

Tak więc książka Jerzego Dyjciańskiego jest jeszcze jednym kamykiem tej różnorodnej mozaiki. Mówi o Woldenbergu, w którym także pisano wielu i nie dziwnego, bo oflag IIc był największym obozem jenieckim w Trzeciej Rzeszy. Oryginalność tej książki tkwi więc w czym innym. Oto Dyjciański nie opowiada, jak wtedy żył w obozie, mówi natomiast jak w r a c a l i po wyzwoleniu do kraju. Wyniszczeni głodem i chorobami, o psychicznej stamowanej pięcioletnim przebywaniem z drutami — wracają do domu. Wśród groźnych im niebezpieczeństw ze strony bliskiego jeszcze frontu, narażeni na śmierć z rąk maruderów rozbitych jednostek Wehrmachtu, niedobitków hitlerowskich fanatyków — ta grupka jeńców wojennych ma przed sobą jeden cel: przedarć się do kraju.

Wydawać się może, że z chwilą otwarcia bram obozu, i chwila nadejścia wolności — wszystko już stało się proste i łatwe. Taki obraz utrwalają u nas literatura jeniecka i znów z wyjątkiem „Jednak” jestem” Krzemienieckiego — książki wciągającej o interwale między chwilą oswożenia a przekroczeniem granicy Kraju. A przecież ta droga do Polski była trudna i dramatyczna. O niej właśnie opowiada ciekawa książka Jerzego Dyjciańskiego.

J. WIL.

Jerzy Dyjciański „Kriegsgefangener nr 158 wraca do domu” Wyd. MON, 1973



Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (12)

— Tak, ty!
— Nie, oczywiście, że nie! — odparłam. — Jak sądzisz, kiedy nadejdzie? NatURALNIE, że wolalabym tu wtedy nie być. Mogłabym zmknąć i się zaziębić. Kiedy przyjdzie burza?

— Może w ogóle nie przyjdzie. A nawet, jak będzie, to znacznie, znacznie później. Nie obawiaj się, piękna pani.
— Po chwili znów mnie spytał:
— O której zabiera cię stąd dziadek?

— Tego nie potrafiłam powiedzieć. W każdym razie nie dokładnie. Ale wyjaśniłam:
— Wychodzi z „Męskiej” o szóstej.

— O szóstej. W porządku. Przypuszczam, że burza może nadejść znacznie później.

Od tej chwili aż do dalekich uderzeń zegara, wydzwaniającego godzinę piątą, niewiele rozmawialiśmy. Siedzieliśmy, a ja, mimo obawy przed nadciągającą burzą, czułam się szczęśliwa. I chociaż Gordon siedział cicho i spokojny, wiedziałam z całą pewnością, że on też jest szczęśliwy.

Gordon zapakował pudełko, owinał je w kocyk i ułożył tuż pod drzewem.

— To na wypadek, gdyby zaczęło padać. Powinnaś zawsze nosić z sobą płaszcz od deszczu, Selino. Przynieś go jutro ze sobą.

Jutro! A więc jutro znów tu przyjdzie. Nie ma potrzeby nawet pytać. Przyjdzie.

— Do widzenia, Selino!
— Do widzenia. Rozstanie napędzi człowieka słodkim smutkiem — dodałam cicho.

— Tak — zgodził się Gordon. — A więc, do jutra! Przyjdzie? — To Gordon mnie pytał!

Zal mu było odchodzić. Zal opuszczać mnie. Słyszałam jego powolne kroki na pobliskiej ścieżce, ale, jak mówił Gordon, niewidocznej spod drzewa. Gordon szedł ścieżką wolniutko. A potem już go nie słyszałam.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nigdy dotąd nie wiedziałam, co to znaczy samotność. Nie musiałam wiedzieć. Dopiero teraz zrozumiałam, kiedy uchylił kroki Gordona na ścieżce.

Samotność jest daleko gorsza niż ból zębów.

Nasłuchiwałam uważnie. Bardzo uważnie. Musiałam zrobić jedną ważną rzecz, a nie chciałam, żeby to widział ktoś obcy. Nikogo nie było. Co prawda dochodziły mnie liczne kroki na ścieżce, ale nie słyszałam cichego odgłosu stąpienia po trawie.

Wykopalam bliźniętka drzewa mały dołek. Ziemia była twarda, bo nie padało już od wielu dni, a nawet tygodni. Zaleło mi to sporo czasu.

Kiedy włożyłam do dolki rękę, przekonałam się, że jest dość głęboka. Akurat taki, jak chciałam.

Pewna, że nikt mnie nie obserwuje, zdjęłam z siebie nylonową halkę. Zawinałam w nią stare, drewniane pudełko, nałożę ongiś do pięknej dziewczyny, która była niczym, włożyłam je delikatnie do dolki.

Moja pozytywka będzie tutaj sześciu, w tym mlekkiem, cichym grobie, aniżeli w mieszkaniu, z Rose-ann i planym dziadkiem. Nie zasłużyła na to, żeby ją zabierać do takiego domu.

— Pewnego dnia, pewnego sześciu, może znów cię wyjmę — powiedziałam do mojej pozytywki, po czym zasympałam ją ziemią.

— Czyżbyś słyszała szeptany dźwięk muzyki, wydobywającej się spod ziemi? Nie, to niemożliwe. A przecież byłam prawie pewna, że słyszysz muzykę.

Usiadłam, czekając na dziadka.

— Proszę cię, Boże, — modliłam się — nie pozwól, żeby mnie tu zlapał burza.

Siedziałam i czekałam.

Gordon słusznie przepowiedział. Ja też czułam nosem i wszystkimi zmysłami nadciągającą burzę. Wyszchnięta ziemia zdawała się wyciągać ramiona ku niebu, spragniona, tak jak dziadek, kiedy zranił się w nogę i nie mógł wyjść z domu na „jednego”. Rose-ann nie przyniosła mu nawet jednej flaszki.

Czułam, że powietrze jest ciężkie i suche. Nagle, niespodziewanie zawiął lekki wietrzyk i znów było cicho. Daleko, bardzo daleko, usłyszałam głuchy odgłos grzmotów.

Usiadłam bliżej drzewa. Nawet myśl o jutrze zatarła się w obliczu grozy nadejścia ku mnie — siedzącej tu, na dworku w nocy, samej w ciemności, z dala od ludzi. Przeształam się modlić, gdyż wiedziałam, że burza i tak nadejdzie.

Do głowy napływały mi coraz okropniejsze myśli. Zaledwie tydzień temu słyszałam, jak spiker czytał w radio jakiegoś opowiadanie. Zdawało mi się, że znów słyszę jego głos: „Wiatr z deszczem uderzył z furją o ziemię, Błyskawice rozświetlały ciemności, pioruny rozdarły niebo. Wśród dudnienia grzmotów...” — starałam się zapamiętać resztę opowieści. Burza zaczęła się na dobre.

Wiatr zawirował, deszcz uderzył o ziemię z wściekłością. Podmuchał smagnął deszczem aż pod drzewo. W mgnieniu oka cała przemokłam. Wiedziałam, że wśród przeciągniętego toczącego się grzmotu, niebo rozdierała raz po raz błyskawice. Słyszałam, jak wyciągają ramiona złośliwie — gorsze niż Sadie! gorsze niż przyjaciół Rose-ann, który sięgnął po mnie owej nocy.

Krzyknęłam głośno. Ale głos burzy był o tyle potężniejszy i silniejszy niż kiedykolwiek. Nawet nie usłyszałam własnego głosu. Nikt by nie usłyszał. A potem krzyczałam i krzyczałam bez przerwy.

— Czemuż jestem ślepa? — wołałam. — Czemu nie mogę widzieć? Dlaczego nie potrafię wstać i szybko uciec przed burzą? — Wzywałam dziadka, Rose-ann, pana Fabera.

Moje „jasnozielone włosy” przykleiły się do głowy, mokre u-branie oblepiło ciało. Czy kiedykolwiek jakaś ludzka istota była tak przemoczona? A może nie jestem istotą ludzką? Czy ja, Selino, jestem istotą ludzką? To niemożliwe.

„Nikt by nawet psa nie wygnął w taką noc jak dzisiaj!” — Często słyszałam, jak Rose-ann tak mówiła.

Gdzie jest teraz Rose-ann? Gdzie dziadek?

Ogarnął mnie nagłe wielki smutek, że oni dbają o mnie mniej niż o psa. Zresztą obydwoje nie znosili psów.

Muszę sama nomyśleć o ocaleniu!

Podniosłam się ze swego miejsca. Ale gdzie miałabym pójść? Zostałam.

Podobnie jak zwierzę, wiedziałam, że nie wolno mi opuszczać tego miejsca. Burza stawała się coraz głośniejsza. Zapewne błyskawice rozdierały niebo.

Deszcz ciągle padał. Czyżby nastąpił drugi potop? Może wszyscy ludzie na ziemi mają być załadowani do arki, a tylko o mnie jednej zapomniano?

Przez całe życie najwięcej ze wszystkiego bałam się burzy. Ale takiej jak ta nie znałam jeszcze. Byłam przekonana, że nigdy się nie skończy. W każdym razie przedtem ze mną będzie koniec. Czy sprzątażki w parku wymiotają moje pokurzone ciało? I wywożą mnie na śmieć?

Zaczęłam płakać. Nie przypuszczałam w ogóle, że człowiek może tak płakać. Włożyłam palec do ust i kiwałam głową w jedną i w drugą stronę.

Pomiedzy dwoma grzmotami usłyszałam odgłos kroków na ścieżce. Ale to nie w moją stronę. Dziadek nie mógłby tak biec.

Byłam przekonana, że są to kroki wariata! Co za straszne słowo!

„Jakiś wariat wejście tu no schodach i chwyci cię — cap! Chwyć cię, o tak — cap! Oto, co cie czeka. Przekonasz się, czy tak nie będzie”. Sadie stała mi to powtarzała.

Ten ktoś zbiegł ze ścieżki. Słyszałam go, jak zbliża się po mokrej trawie, żeby mnie chwycić.

Krzyknęłam.

— Selino! — Gordon chwycił mnie w ramiona, silnie i bezwzględnie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Starałam się ukryć w tych słynnych, bezpiecznych ramionach. Nie przestawałam płakać. Zanosila się od płaczu.

— Och, mój Boże, Selino! — Gordon powtarzał raz po raz. Pochwycił mnie z ziemi i ponosił przez burzę. Deszcz padał teraz jakoby Inaczej. Uderzał o dach.

— Jesteśmy w hucie — wyśmiał Gordon. Siedzieliśmy na ławce. Czulałam pod wilgotną dłoń dotyk twardego drzewa. Ławka była sucha.

— Nie płacz już, dziecko. Nie płacz, biedne, smutne dziecko, nie płacz. — Gordon ukląkł przy mnie.

Podniosł się raptownie i usłyszałam, że zdejmuję płaszcz. — Zdejmuję płaszcz, Selino — powiedział. On mówił mi, co robi!

Jego płaszcz deszczowy był z materiału. Wewnątrz był suchy i ciepły. Owinał mnie. Płaszcz był obszerny i okrywał mnie całą. Gordon usiadł na ławce i ocalał mi twarz suchą chusteczką. Odgarnął mi mokre włosy z twarzy.

— Biedne, wystraszone, zmoknięte kaczusko — uspokajał mnie. Płakałam w doświm ciemności, ale dlatego, że on przyśledł. To było zbyt nieprawdopodobne, zbyt wspaniałe! I zbyt niebezpieczne!

Dalszy ciąg nastąpi



Starzec podobny do mumii (3)

A jednak ośrodek dyspozycyjny tej międzynarodowej organizacji handlu narkotykami nadal funkcjonował sprawnie. Sądząc z zebranych dotąd faktów, André-Augusto Ricardo powinien być jedną z kluczowych postaci tej ogromnej afery. Być może właśnie on stał na czele organizacji, ale nie było na to bezpośrednich dowodów. Agenci wyjęli z zaruconej sieci tylko drobne rybki, rekiny pozostały w morzu.

Któregoś dnia nadeszła z Argentyny niepokojąca wieść. Władze argentyńskie, rozdrażnione aresztami argentyńskich obywateli w Nowym Jorku, zadaly handlarzom narkotyków przedwezny cios. Korzystając z okazji napadu na bank, dokonanego przez bandytę-Franco, policja argentyńska aresztowała wszystkich znanych przestępców narodowości francuskiej, którzy tylko nawinęli się jej pod rękę. Spłoszony André-Augusto Ricardo ulotnił się natychmiast. Amerykańscy agenci przekonali się na tym gorzkim przykładzie, że syndykat jest niezwykle giętki.

Tymczasem, niezależnie od akcji policyjnej w Argentynie, już od pewnego czasu zaobserwowano nie wyjaśnioną przerwę w wojażach wysłanników syndykatu przez Północny Atlantyk. Poczynając od lata 1969 roku ilość konfiskowanej heroiny w amerykańskich por-

tach lotniczych systematycznie malała.

W marcu 1971 roku, jeden z zakonspirowanych informatorów, który powrócił właśnie z podróży do Ameryki Łacińskiej powiadomił insp. Sully, że chodzi o tamte słuchy o nowej organizacji handlu narkotykami, działającej już ponoc w Buenos Aires. Ośrodek kierowniczy nowego syndykatu działa rzekomo w Asuncion, w Paragwaju, i przemycza do Stanów Zjednoczonych ogromne ilości heroiny na samolotach pasażerskich wewnątrz-rejsowych: Ameryka Łacińska — USA. Informator uprzedzał także, że przestępcy mają niemal pełne poparcie rządu paragwajskiego.

W niektórych innych doniesieniach twierdzono, iż organizacją w Paragwaju kieruje „starzec podobny do mumii”.

Chodzily również słuchy, że jest on właścicielem hotelu z

restauracją na przedmieściu Asuncion. I wreszcie, że tu i ówdzie wymieniano jego imię: „André”.

Informacje o syndykatie przestępców w Paragwaju, który przerzucał do USA tony heroiny na samolotach wewnątrz-rejsowych, latających na Miami, zaskoczyły funkcjonariuszy amerykańskiej służby celnej i agentów do walki z handlem narkotykami. Aby odrobić straty oboj resorty zaplanowały wspólne uderzenie. W Miami utworzono kierowniczy ośrodek grupy operacyjnej. Do pracy w nim zwerbowano między innymi informatorów, rekrutujących się z byłych przemytników, doskonale znających Paragwaj i zaistalowane tam tajne lotniska. Występując pod maską przemytników mieli oni zewczasu informować Miami o transportach heroiny. Amerykański urząd do walki z handlem narkotykami oddał do dyspozycji informatorów zużyte samoloty transportowe z podrobionymi numerami rejestracyjnymi.

Te ogromne sieci informatorów zakodowano hasłem „Condor” i opracowano niezwykle precyzyjny plan działania. Podpisując doniesienia numerami, agenci przekazywali informacje za pośrednictwem tajnych skrytek poste-restante w oddziałach pocztowych, jak również za pośrednictwem tajnych skrytek w rejonie Kanalu Panamskiego.

Ani nazwiska, ani pseudonimy tych ludzi nie figurowały w żadnych dokumentach. W ten sposób stworzono kontrorganizację nie mniej zakonspirowaną, niż syndykat przestępców w Paragwaju, tyle tylko, że działającą legalnie.

W ciągu lata 1971 roku zebrano materiały, które ujawniłyby skandaliczną aferę. Syndy-

kat przemytu narkotyków, bazujący swego czasu w Buenos Aires, rozpełzał się po Ameryce Łacińskiej tworząc dziesiątki drobnych grup w licznych krajach. Ale ośrodek dyspozycyjny tej zorganizowanej bandy gangsterów znajdował się rzeczywiście w Paragwaju, który zawsze był rajem przemytników, bowiem kontrabanda była jednym z głównych źródeł dochodów tego państwa.

Do Asuncion przyjeżdżali dostawcy narkotyków nawet z tak oddalonych punktów świata, jak Hongkong i Singapur. Tutaj kontaktowali się z impo-

nującą grupą ministrów i wojskowych wysokiej rangi, gotowych pójść im na rękę za okrośloną opłatą. Agenci złowrogiego szefa tamtejszej tajnej policji, Pastora Coronella, śledzili informatorów i sprzedawali ich fotografie handlarzom narkotyków po 50 dolarów za sztukę. Oczywiście wiadomo w jakim celu. Urzędnicy paragwajskiej służby imigracyjnej dostarczali fałszywe paszporty i dokumenty na przeloty samolotami po 500 dolarów za komplet. Generalowie: Patricio Colman i Andres Rodriguez wydzierżawiali przemytnikom swoje rancha na lotniska za okragle sumki 25 tysięcy dolarów za jedno lądowanie samolotu.

Duże partie heroiny z rachomych laboratoriów w Zachodniej Europie przybywały na statkach do Buenos Aires lub Montevideo. W portach, przedstawiciele tajemniczego Andre przyjmowali „łowar” i nieopstrzeżenie przemykali przez komochodach, lekkich samolotach i barkach rzecznych przetrucali narkotyki o dwa tysiące kilometrów dalej — do Paragwaju.

Dalszy ciąg na str. 7

NIE MA CUDÓW...

Dalszy ciąg ze str. 1

— Jest wszystkich. I przyjęć może każdy.
— Kraj, który posiada taki rezerwat przyrody, to potęga...

Powiedział to z zadręciami i z przekąsem. Sławiąc piękno mazurskich pejzaży, które były dla niego symbolem ciszy i wytchnienia, nie ukrywał z drugiej strony rozdrażnienia w kwestiach bardziej przyziemnych.
I trudno się dziwić.

Poza przyrodą — na Mazurach nie ma wielkich cudów. Mazury drepczą w miejscu. W porównaniu z innymi rejonami turystycznymi — pięknymi górami i rozległym Wybrzeżem — baza wypoczynkowa na Mazurach poczyniła w ciągu dwudziestu kilku lat minimalne postępy. Weźmy dla przykładu Giżycko. Już dawno temu zbudowano w mieście nową restaurację obok hotelu „Zamek”, ale stan posiadania został wyrównany, ponieważ niedawno zlikwidowano starą restaurację „Polonia”. Przybyła wprawdzie kawiarnia „Ekran” obok kina „Fala”, ale zniknęła za to kawiarnia na drugiej stronie ulicy. Wzniesiono niby na pociechę nowoczesny bar szybkiej obsługi i drugi w mieście bar mleczny, jednakże zginął wszelki ślad po knajpce, która stała niegdyś w pobliżu kanału i której nazwa wywodziła się z głowy. A więc w walce przeszłości z teraźniejszością utrzymuje się raczej wynik remisowy. Ktoś powie, że jest w Giżycku przyjemny nowoczesny motel, ale przecież ten ostatni „nabytek” posiada tylko dziesięć pokoi. Ktoś powie, że wzniesiono za kanałem sporą jadalnię FWP, ale gdzie są w takim razie efwupowskie ośrodki? Ani jeden taki nie rzuca się w oczy.

Wczasowicze gnieźdzą się w tak zwanych kwaterach, które — rozsiadane po blokach i starych — jednopiętrowych domkach — potrafią zamlecić szczęśliwą porę urlopu w ponure pasmo udręki. Jeśli chodzi o pomieszczenia dla prywatnych wczasowiczów, sprawa przedstawia się całkiem beznadziejnie. O tym, żeby znaleźć w mieście czy pod miastem wolny pokój, nie ma nawet mowy. To nie

Sopot i nie Zakopane. Giżyckanom i bez wczasowiczów jest ciasno. W Giżycku czeka się na rzydział mieszkania w blokach ponad dziesięć lat, a takich, co czekają, jest sporo. A zatem jedynym ratunkiem dla turystów mogłyby być ośrodki campingowe. I tu trzeba powiedzieć, że sprawa wygląda jeszcze gorzej. Kilka drewnianych budek nad kanałem może tylko rozłżyć tysiące bezdomnych przybyszów. W Centralnym Ośrodku Sportu, Wypoczynku i Turystyki, gdzie dwuosobowy pokój kosztuje dwieście dwadzieścia złotych za dobę, a domek campingowy o dwóch łóżkach — sto dziesięć złotych, też nie ma nigdy wolnych miejsc. Pobliski Ośrodek Studencki odprawia z kwitkiem każdego dnia kilkudziesięciu miłośników mazurskich okolic, którzy — z braku innych możliwości — próbują zadekować się w wypożyczonych namiotach, a skoro i te są już na wyczerpaniu, zamieniają się w watahy obdartych włóczągów.

To nie przesada! Podobnie jak przed kilkunastoma laty, tak i teraz Mazury są w sezonie jednym wielkim zakurczonym i obdartym koczołwiskiem. Nieprzerwanie obowiązuje tutaj moda na brudasa, abnegata i wykołajca. Kiedyś, w biedniejszych czasach, ów żebraczy koloryt dał się jakoś wytłumaczyć. Teraz, kiedy cały kraj parady w modnych, rodzimych i zagranicznych ciuchach, kiedy nawet w zapadłych wioskach spotyka się na każdym kroku czysto i gustownie ubrana młodzież, a widok pekaowskich dżinsów i nylonowej bluzki od dawna nie jest przedmiotem nieosiągalnych marzeń — brylujący na Mazurach łachmaniarze wydają się dużym nieporozumieniem.

— Zdejmij ten pierścienek i ten cholerny sweter! — pucza jakaś koszmarna żeglarka swoją dostatnio ubrana, niedawno widocznie przybyła do Giżycka koleżankę.
Działo się to w ballu kawiarni „Ekran” i ta druga, zakłopotana i zdziwiona, zaczęła gorąco protestować:
— Dlaczego?
— Wiara się wyśmleje.
— Co w tym śmiesznego?
— Wyglądasz jak babus z etwupe.
I ta druga zaczęła się prze-

bierać, czyniąc nadludzkie wysiłki, aby dorównać koszarnej żeglarsce, przyodziejanej w zgrzebną, związana w pęk na brzuchu szmatę i obelachane powyżej kolan wranglery.

Jeśli komuś się zdaje, że przytoczony dialog nie odzwierciedla w pełni panującej na Mazurach atmosfery, to jest w błędzie... Obrazek ten daje się cudownie uogólnić. Przecież nie ograniczaniem w tym roku swoich obserwacji tylko do Giżycka i pobliskich Wilkasów. Byłem w Rucianym, Mikołajkach, Węgorzewie, Kętrzynie i kilku innych miejscowościach, i w każdej z nich wikszość szwendających się po uliczkach „wczasowiczów” stanowił brudas i niechluj.

Wyciągnęłam z tego pewne wnioski...

Otóż wydaje mi się że na Mazurach mamy do czynienia z klasycznym sprzężeniem zwrotnym. Ojcom mazurskich miasteczek nie opłaca się budować luksusowych hoteli, solidnych restauracji i wygodnych ośrodków dla tak niechlujnych wczasowiczów (są wszachobecni; jak się na nich patrzy, wydaje się, że w całej Polsce nie ma innych), a niechlujnym wczasowiczom nie opłaca się zmieniać ubiorów i obyczajów w tak niedznych, panujących aktualnie na Mazurach warunkach „wypoczynkowych”.

Spacerując brzegiem jeziora w Mikołajkach, a miałam na tę okoliczność surowego świadka, przeżyłam coś w rodzaju wstrząsoterapii. Oto kończy się betonowe moło i brzeg jeziora, będący także zabudowaną granicą miasteczka, biegnie teraz u podnóża zmurzanych, parterowych domków, walących się chat i zasaconych podwórek. Tu i ówdzie, w piachu, w błocie i mokrej, niedźwiej kopie zieleni widać jakieś podmyty namioty, jakieś zakopany po resory samochody. Co kilka metrów wpadam na kolezanych drutach, w rowy i wady. Ale nie to jest straszne. Prawdziwą grozą napawa mnie dopiero widok ludzi, którzy próbują „zżyć tu wczasów”. Pewna pani w średnim wieku przycięgnęła sobie leżak do drewnianego pomostu i posród żółtych gazet, puszek od konserw i odpadów wystawiła do słońca zakorkowane. Kilku panów pochyla się nad brunatną, tustą od smarów tonia jeziora z wędkami w ręce. Pytam jednego:
— Biorą?
— Rybki? — pyta.
— Tak.
— Nie, Rybki nie biorą. Ale bierze za to cholera!
— Ha, ha, ha! — śmieję się

na wszelki wypadek. I patrzę z przerażeniem na człowieka, który wygosparował sobie skrawek suchego miejsca na betonowym falochronie; opala się w kalesonkach, ale ma również przeciwsłoneczną czapkę. Jak drudnie wiatr, to wpadnie do zatoczki i zginie — myślenie. — Jak zaśnie, też może być tragedia!

Widziałem jeszcze kilkanaście podobnych scenek, które przywodziły chwilami na myśl cierpienia pokornych Hindusów na przedmieściach Bombaju.

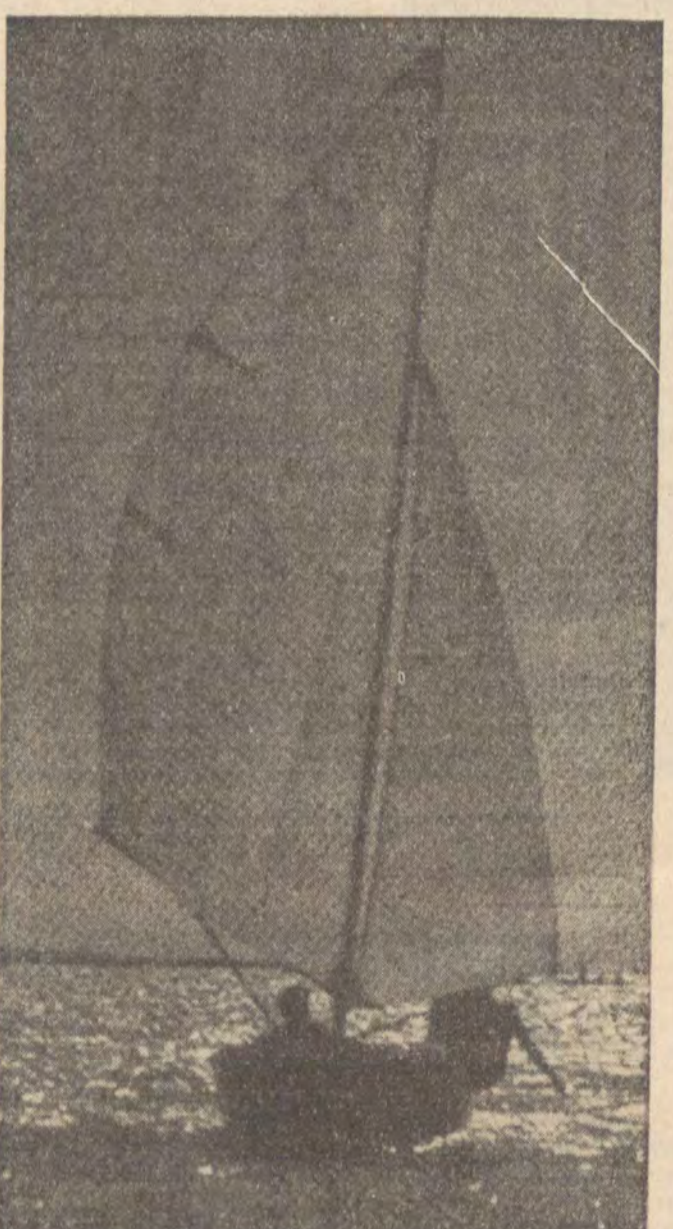
O ile jednak w słoneczne przedpołudnie ludzie mają jeszcze jakieś zajęcie, walcząc o skrawek brudnej plaży, kajak, leżak czy miejsce na spacerowym statku — o tyle wieczory — i to we wszystkich wymienionych uprzednio miejscowościach, a także dla ludzi w każdym wieku i wszelkich zainteresowań — nie następują w ogóle żadnych możliwości rozrywkowych i wypoczynkowych.

W Giżycku o godzinie dwudziestej pierwszej w obu restauracjach dancingowych jest komplet i tłumy pijaków, a także czcigodnych obywateli, atakują od zewnątrz wejście wrota.

Słychać takie mniej więcej dialogi:
— Ciotka, puść na dwoje, muszę bratu podrzucić kluczyki!
— Zjeżdżaj pijanico!
— Mam zarezerwowany stolik, panie szefie...
— Ześ pan chyba pomylił lokal.

Jedynym argumentem, który jest w stanie zmięknąć od czasu do czasu twarde serca portierów, są drobne łapówki. Ale argument ten, stary jak świat, ma zawężoną sferę działania. Komu wleśkać łapówki, skoro brak kin, teatrów, klubów i jakichkolwiek imprez? Życie towarzyskie na Mazurach toczy się w warunkach plenerowych, na deptakach i pod budkami z piwem, i bez wahaniami można powiedzieć, że w żadnym innym rejonie Polski nie spotka się w dzień roboczy o dwunastej w południe tyłu co tutaj, pijanych, szwendających się po uliczkach ludzi.

Awantury, bójk, szokujące, popełniane na oczach przechodniów nieprawości — kto ponosi winę za rozpow-



szechnianie się tych pirackich obyczajów?

No, jasne, mamy niesforną młodzież. Ale nie młodzież projektuje te wszystkie pustynie kulturalne.

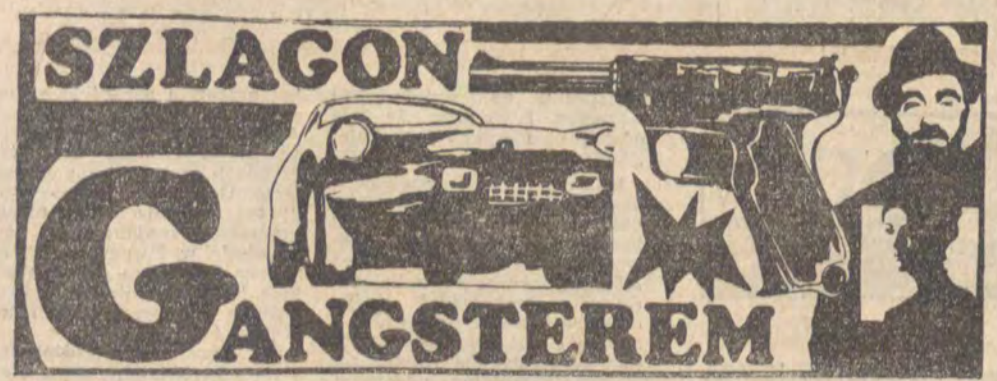
A zatem logiczniej i sprawliwiej będzie obciążyć władze mazurskich miasteczek. Co zrobiliście, panowie, dla tych pięknych ziem? Gdzie wasza inicjatywa? Jak długo jeszcze będziemy płacić wystydem za waszą indolencję?

Inżynier z Warszawy, którego spotkałem w słoneczny dzień na giżyckiej przystani, roztoczył przede mną promienne perspektywy:

— Gdyby ktoś zaczął w końcu myśleć, Mazury byłyby dla kraju złotą żyłą. Można by tu ścigać w sezonie miliony turystów z kraju i z zagranicy...

— Zaczął wylizywać na palcach to, czego najbardziej brak: hotele, restauracje, kawiarnie, kina, campings, plaże. Wskazywał plażę, na której można by się zbudować. Mówił także, w jaki sposób należałoby uzdrowić gastronomię: — Tak jak w Jugosławii, proszę pana... co dwa kroki jakaś ajencyjna albo całkiem prywatna knajpka, każda ma jakąś swoją specjalność, tu ośmiornice, tam ostrygi albo kurczaki z rożna...
A na zakończenie powiedział:
— Byłem dzisiaj na śniadaniu w barze mlecznym. Mieszkam w namiocie i musiałem kupić dla żony i dzieciaków coś do zjedzenia. Wie pan, ile czasu spędziłem w kolejce? Czterdzieści pięć minut.
— To nie mógł pan zrobić zakupów w spółdzielni?
— Nie mogłem. Za późno wstałem i w spółdzielni nie było już ani mleka, ani chleba.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Przyjaciele dzielą się na tych, którzy oddaliby ci wszystko łącznie z własnym sercem, ale sami niestety nie poza tym sercem nie posiadają; oraz na tych, którzy mają wiele, ale dają niechętnie obiecując za to sporo. Osobiście cenię sobie wyżej tych pierwszych, lecz z nimi należy postępować bardzo rozważnie, bo choć serce ludzkie bywa czasami bardzo duże, to jednak wobec ogromu spraw tego świata jest jednak małą za ledwie kruszyną. Poza tym serce ludzkie jest dziś towarem reglamentowanym, więc ostrożnie z tym braniem, bo może się okazać, że nawet u najlepszego przyjaciela go może nagle zabraknąć.

Co zaś się tyczy drugiej kategorii przyjaciół, to istnieje absolutna dowolność postępowania i jeżeli coś tylko zechcą nam ofiarować, należy z tego korzystać, bo oni i tak wiedzą, co robią...
Miałem jechać do Nowego Targu na Międzynarodowy Splyw Dunajcem, jubileuszowy zresztą splyw i zrobić z tego reportaż, jako że sprawy wiśla i wody nie są mi obce — a nawet znamy więcej — są mi dobrze znane i bliższe. Szefowie więc wytypowali mnie.

— Jedź — powiedzieli i napisz taki materiał, żeby nakład podskoczył — pewnie się ktoś tam będzie topił, może jakiś innostraniec natnie się na katarakty Dunajca, a jak nie, to może coś innego się wydarzy... Tylko ty się nam nie utop — bo byłoby nam przykro, a poza tym sam wiesz, że w gazecie z miejscem krucho, a nekrolog jednak mimo wszystko trzeba by zamieścić.
Wrzuszony zaufaniem, a takową troską wziąłem delegację, zaliczkę, z piwnicy wyciągnąłem wierną dmuchaną „Salamandrze” i zacząłem sposobie się do podróży...

Alieś los chciał, że spotkałem przyjaciela! Przeneczanie krętymi chadza drożkami!
— Stary, po cholereś będziesz tłukł się pociągami? Cykił dzieja się na dworcach. Pożyczę ci mój skuter i fruwać bracie, a poza tym będziesz miał większą swobodę ruchu... Wiesz, czytaj te twoje numery w „Odgłosach” — dobre, stary, dobre...
Czort pastylek nasennych nie tyka więc cierpi na chroniczną bezsenność. Wziąłem skuter, przytoczyłem graty i ruszyłem.
Nie będę zarozumiałym i nie powiem, że „wyskoczyłem” na Kielce-Kraków: ot po prostu wyjechałem z Łodzi szosą Kielce — Kraków z taką szybkością, z jaką może jechać nasze „osiątko”. Motor pracował, więcej nawet — zdawało mi się czasami, że po prostu gra. Ja pod wiatr, przez zaciśnięte zęby mruzczałem melodię: „...bluzeczka twą zamazowa, pachnąca mocno soire de Paris, i w pędzie rozwich-

rzone twoje włosy i coraz szybsze tętno rozciągniętej krwi... Przeszkadzał mi jeno nieco przyciasny kask (co za pomysły, tato! — na skuterze w kasku!) i żalowałem, że nie mam rozwichrzonych swoich włosów, i że tylko broda mi się wichrzy. Ale trudno — rozwój motoryzacji zmusza do ofiar, świadomym wszak jestem skutomobilistą i się podporządkuję — aczkolwiek niechętnie.

W każdym razie musiałem wyglądać nieźle na tym nocniku z motorkiem, z włosami sterczącymi z tyłu niczym hularskie skrzydła, w czerwonym kasku, w naciarskich różowych goglach, z rozwiązaną, miedzianą polyskującą w słońcu brodą, bo ani dzieci po wsłach nie rzucały we mnie kamieniami, ani nikt nie wychylał się z mijających mnie samochodów i nie pokazywał mi, gdzie jego babcia koszyk onegdaj nosiła. Jednym słowem jechałem jak przystoiwowy król na imieniny.

Alieś wiedz Czytelniku młły, że szczęście na bardzo krótkich nóżkach chadza, a jak jeszcze te nóżki są w kształcie kółek, to nie z żadnym tam szczęściem mamy do czynienia, lecz z fortuną. A jak wiadomo fortuna nie chadza, a toczy się, a skoro przestaje się toczyć, to normalnie staje w miejscu, a jak fortuna neguje swej Istocie, to nie ma w ogóle o czym gadać. I tak to w pewnym momencie Osa moja stanęła niczym przysylowowy wół, motor przestał grać, a mnie „tętno rozciągniętej krwi” zamarło na wargach i powoli zmieniło się w soczyste przekleństwo. Było to przekleństwo, którego nie

powstydziliby się ani Hiszpan, ani Rosjanin...

Od szczeniaka nie miałem najmniejszej smykalki do mechanizmów, chyba że była to maszyna w postaci dzwigni prostej czyli — kija. Z tą jeszcze jakoś sobie radziłem w tzw. „sytuacjach podbramkowych”. Spojrzałem zatem ze wstrętem na „to coś”, co stało na skraju szosy, odwróciłem się plecami i ległem w rowie (zrzucając uprzednio z wielką ulgą kask) jako, że z natury pełen jestem stoicyzmu i łagodności. I tak leżałem sobie w rowie między Węzorem a Prandocinem, twarzą ku słońcu, drzemiąc sobie, niedbały o dalsze losy wyprawy, bo „na zapas” nie zwykłem się troskać. Szosą przelatywały wozy i wózki, a mnie się machać nie chciało, bo jak człowiek gdzieś ma zdążyć to i tak zdąży, a jak ma coś zrobić naprawdę, to i tak zrobi — chociażby tam nie jedna Osa, a cały rój szerszeń w woły się zamienił. Z owej drzemki wyrwał mnie nagle przeraźliwy pisk hamulców — wytknąłem głowę sponad rowu i ujrzałem najpierw czerwonego jak krew byka Jaguara z rozsuniętym dachem, a potem wylającego z niego faceta nie pierwszej już młodości za to o barach Zbyszka Cyganiewicza i Churchillowskiej zaiste tuszy, z grzywą siwych włosów, jak owa góra lodowa, która miała przyjemność z „Titanikiem”.

Istna Ameryka, film i ryczący lew w kółku! Facet tymczasem podszedł do mojej Osy i zaczął się jej przyglądać z wyraźnym zaciekawieniem. Postanowiłem się jakoś zachować bo wreszcie niech sobie byle Yankes nie wyobraża, że znalazł się w muzeum osobliwości!

— Are you going this way? — rzuciłem od niechcenia, machając ręką w kierunku Prandocina.

— By Jove! — wrzasnęła żywa reklama zdegenerowanego byznesmena — to ja tu po to przyjechałem, żeby spieczęć tym parszywym językiem! Mów do mnie, synu, jak pan Bóg przykazał. My god! Co za ludzie się z was zrobili! Za moich czasów każdy jeden tutaj wyobrażał sobie, że w Ameryce chodzą głowa na dół, a dziś wszyscy jakby co najmniej Wellesley albo Sarah Lawrence pokonczyli. Goddam! — zakończył ze złością.

Zbity całkiem z pantalyku zdobyłem się jeno na — Pardone, Mister, co musiało wypaść arcygłupio.

— Co to jest? — zapytał facet, wyciągając łusty paluch w stronę mojej osy.

— To jest skuter, który się akurat popsuł — starałem się zachować resztki godności.

— Damned thing! Widać po po nim, że się musiał popsuć! Zrozumiałem, co to znaczy być na tak zwanych „straconych pozycjach”. Wylazłem z rowu i podsunąłem facetowi pod nos paczkę sportów. Niech wie, że życie to nie bajka.

— O — rozpromienił się — prawie tak dobre macie jak goluazy!



TAJEMNICE WYDARTE ZIEMI

W czasie trwania prac wykopaliskowych w Grodzisku Tumskim, prowadzonych w ramach badań nad początkami Państwa Polskiego, odkryto wiele interesujących i ważnych pod względem naukowym przedmiotów. Pozwalają one nie tylko lepiej poznać życie i zwyczaje mieszkanców dawnego grodu, ale — w powiązaniu z wynikami innych badań — upoważniają do wyciągnięcia ogólniejszych wniosków, dotyczących materialnej i duchowej strony życia dawnego, głównie XII i XIII-wiecznego, społeczeństwa polskiego.

Z dna jednej z studni grodzkich, pochodzącej z XII — XIII stulecia, wydobyto w roku 1950 między innymi świetnie zachowane wiadro drewniane, nadpalony kielich wytoczony z drewna i dwie szokujące figurki drewniane. Jedna figurka przedstawiała prymitywne wyrzeźbioną głowę ludzką, przechodzącą ku dołowi w falus, druga była podobna do pierwszej, lecz miała odłamana część górna. Dla archeologów magiczny charakter tych figurek nie ulegał wątpliwości.

Stwierdzone w Tumie ślady zabiegów magicznych są tym ciekawsze, że zabiegi te praktykowano w kraju od co najmniej 200 lat chrystianizowania, obok potężnych murów kolegiaty, będącej silnym ośrodkiem władzy kościelnej.

Tumskie figurki falicznie przypominają nieco amulety wykonane z brązu, a znalezione w Krzyszynie (pow. Poznań), Lewkowie (pow. Ostrów Wielkopolski), Zalesiu (pow. Borszczów) i okolicach Kalisza, zaliczane do importów rzymskich. Badania B. Rybakowa pozwoliły określić bliżej charakter tego rodzaju zabiegów. Wskazuje się mianowicie na to, że druzniny ksiąg kłówek odprawiały obrzędy polegające na moczeniu amuletów wyobrażających falusy w

władze z wodą, którą z kolei rozlewano do mniejszych naczyń wypłano. Ponieważ pewne obrzędy i zabiegi magiczne miały szerszy, ponadlokalny zasięg, dlatego można uważać, iż podobne było przeznaczenie tumskich figurek falicznych, datowanych na XII — XIII wiek. Do wyżej przedstawionych celów obrzędowych służyć może także wiadro i kielich, które — jak już wspomnieliśmy — znaleziono obok figurek falicznych w studni grodziska tumskiego.

Kult falusa — symbolu płodności i urodzaju, rozroczności i potencji natury — miał również związek z gospodarką hodowlaną. W falusie dopatrywano się życiodajnych i ochronnych sił, dlatego też uważano, że tego rodzaju amulety mogą chronić przed złymi mocami. Z zabiegami magicznymi ma najprawdopodobniej związek miniaturka toporka wykonana z brązu, która znaleziona w Tumie. Jest ona jednym z kilku podobnych zabytków, znanych z innych polskich stanowisk archeologicznych. Okaz tumski należy jednak do najbardziej charakterystycznych i najcenniejszych z dotychczas znalezionych miniaturkowych toporków. Posiada on obustronny ornament w postaci wspólnych środkowych kół z rozrzuconych obok siebie. Miniaturkowe toporki — amulety mogły być zawieszane u pasa czy też u szwi na rzemieniu, które przewlekano przez otwór ostrza lub oprawy.

Przedstawione powyżej znaleziska tumskie — ślady pogańskich praktyk magicznych — świadczą jak silnie tkwiły w XII — XIII-wiecznych obyczajach społeczeństwa polskiego tradycje dawnych, przedchrześcijańskich wierzeń. Na to, iż nowa wiara — chrześcijaństwo — nie od razu całkowicie przysłała się w naszym społeczeństwie wskazują i inne ślady. Na przykład długo jeszcze po roku 966 grzebano u nas zmarłych według dawnych pogańskich obyczajów, o czym świadczą chociażby groby z XII wieku znalezione w Poddobieczach. Widać stąd, że walka Kościoła z praktykami pogańskimi w pierwszych wiekach chrześcijaństwa w Polsce osiągnęła tylko połowiczny skutek. Niekiedy walki pogańskie solatały się z chrześcijańskimi w nierozrwalny węzeł. Pewne elementy tego solotu można odnotować nawet i w czasach nam współczesnych.

HENRYK SZUBERT



Dalszy ciąg ze str. 5

Heroinę, która przybywała do międzynarodowego portu lotniczego w Asuncion, wyładowywała paragwajscy celnicy, nierzadko pod okiem samego naczelnika paragwajskiej komory celnej. Później ukrywano ją w pewnych domach w stolicy Paragwaju. Jednym z takich domów był motel Andre o wdziewiczim nazwie „Paryż — Nicea”. Osobne partie heroiny wysyłano do Miami z małego lotniska, leżącego kilka kilometrów za miastem. Lotnisko, noszące oficjalną nazwę „Aeroklub Paragwaj”, było własnością generała Rodrigueza.

Donoszono, iż w państwo-

wych magazynach, usytuowanych na południowo-wschodniej granicy Paragwaju, przechowywano ponad tysiąc kilogramów heroiny i kokainy, czujnie strzeżonych przez żołnierzy wojsk federalnych. Niektórzy z informatorów inspektora Sullyego musieli przewozić heroinę z lotnisk, należących do generała Colmana, położonych tuż za stolicą. Za każdym razem żołnierze podporządkowani Colmanowi otaczali to prowizoryczne lotnisko i blokowali okoliczne drogi, nie przepuszczając samochodów.

Pomoc ze strony rządu paragwajskiego była tak dalece wydajna, iż jedyna troska tego syndykatu gangsterów było tylko dogadzanie przyjaciółom

i krewnym wpływowych osobistości państwowych, życzących sobie kupić partię narkotyków na własny rachunek. Nie więc dziwnego, że w tej sytuacji powstała w Asuncion ścieżka drobnych handlarzy narkotyków. Jeden z nich, właściciel przedsiębiorstwa handlu dzikimi zwierzętami, wysłał swoim klientom w Kalfornii i na Florydzie woreczki z heroiną, ukryte w wypchanych papugach, a nawet zaszywane pod skórę węży boa...

Jednakże informatorom, danym przez przemyślnik, nie udało się przeniknąć do samego jądra organizacji. Nie udało im się też zebrać wiarygodnych dowodów, że faktycznym bostrem syndykatem jest Augusto Ricardo vel Andre, „starcie podobny do mumii”. Dostarczyli oni jedynie faktów, iż motel Andre koło Asuncion jest miejscem spotkań handlarzy narkotykami i że tam właśnie, często i z przepchem, gości się przedstawiciele rządu.

Zeby Ricardoowi dobrać się do skóry, agenci-informatorzy musieliby udowodnić jego współudział w przemyślniku do USA konkretnej partii heroiny. Zdobyć takiego dowodu było

zadaniem niezmiernie trudnym. Ale jeśliby nawet tego dokonano, Ricardo mógłby zostać oskarżony tylko w jednym wypadku: gdyby dostawiono go na terytorium Stanów Zjednoczonych. Tylko jak?..

Porozumienia z Paragwajem w sprawie ekstradycji przestępców kryminalnych, które zresztą nie uległy zmianie od 1913 roku, nie dotychczas przestępców związanych z handlem narkotykami. Stany Zjednoczone nie mogły też liczyć na współpracę rządu, którego niekiedy członkowie ciągnęli zyski z handlu heroiną. Był też nieprawdopodobnie, żeby Ricardo opuścił kraj, gwarantujący mu „żelazny gład”. Jego aresztowanie wydawało się więc sprawą bardzo odległej przyszłości.

Tymczasem zaszły nowe wydarzenia.

Dalszy ciąg nastąpi
J. CZECH

G.R.A.

ILIA WARSZAWSKII

Bóg ze wstrętem powąchał kopertę przesiąkniętą siarką i podał ją archaniołowi Michałowi.

— Czujaj, Szatan jak zawsze był w szukanie uprzejmy:

„Szanowny Sawaoffe! Myślę, że nie zgreszę wobec prawdy, jeśli przypomnę, że stosowanie siły nigdy nie było uważane za cechę mądrości. Szezerze mówiąc, z głębokim ubolewaniem wspominam o burzącej scenie, jaka rozegrała się u wrót raju. Odwieczna walka pomiędzy dobrem a złem nie powinna być rozwiązywana przewagą ognistego miecza archaniola Michała nad ożogiem Belzebuba lub na odwrót. Jest to raczej rywalizacja intelektualna, niżli metod przekonywania. Ani uwielbienie ascetów, ani ukłania grzeszników — niestety! — także nie nie pomagają w tej polemice. Przewaga rozumu bywa udowodniana czynami, a nie wrzaskiem zauszników.

Dlatego też, pozwalając sobie zaproponować Panu cokolwiek niezwykle pojedyncy: zagrajmy w „parzysta — nieparzysta”? Wygrzywający bezdnie miał prawo raz jeden, według własnego uznania, do-

wolnie zmieniać w podległym nam świecie. Gra rozpocznie się w warunkach zapewniających obu stronom równe szanse, to znaczy z chaosu. Gra będzie toczyć się wiecznie.

„Leczenie na sukces!” — powie Pan.

„Sukces przynosi leczenie” — odpowiem ja.

Nie mając możliwości osobistego wzięcia udziału w grze (by nie wieść na pokuszenie aniołów), posyłam Panu elektroniczną maszynę liczącą, która będzie wykonywać za mnie ruchy. Zasady gry oraz instrukcję obsługi maszyny — załączam.

A więc, jeśli nie ma Pan zastrzeżeń, proszę wszechświat na powrót obrócić w chaos oraz wykonać pierwszy ruch.

Proszę przyjąć, Najwyższy Panie, moje zapewnienia o moim niezmiennym szacunku.

SZATAN
KSIAŻE CIEMNOŚCI

Bóg podrapał się po głowie. — Chyry jest Szatan, lecz głupi — powiedział do archaniołów cisnących się wokół tronu. — Chce jakąś tam ma-

szynę przeciwstawić boskiej mądrości! Już dawno należało nauczyć go rozumu. Dawaj, Gabryelu, maszynę i odczytaj instrukcję.

Zasady gry okazały się niezwykle proste: Bóg winien pomyśleć jakąś liczbę, a maszyna będzie zgadywać czy liczba jest parzysta czy nie.

— No, cóż, zaczynamy — powiedział Bóg zacierając ręce. — Niech się stanie chaos!

Ogluszający grzmot przeleciał nad wszechświatem. Pogasy gwiazdy, rozsypany się w proch planety, w nicosie zamienili się zwierzęta i ludzie.

— Zgaduj!

— Parzysta!

— Nie zgadła, nie zgadła — triumfowali aniołowie.

— Nie zgadła — potwierdził Bóg. — Wygrałem. Niech się stanie światło!

Jaskrawa jasność przeniknęła przez nieprzejrzaną ciemność.

— Zgaduj!

— Nieparzysta!

— Znowu nie zgadła! Niechaj planety powrócą na kregi swojej!

— Parzysta!

— Udało się, Siło Nieczysta!

Trrrach! Rój meteorytów pomknął po orbicie eksplodującego Faetona!

— Nieparzysta!

Millardy światów połączyły się w galaktyki.

— Parzysta!

Chmury galaktyk pomknęły precz od Boskiego tronu.

— Nieparzysta!

— Przegrał, przegrał. Obludnik! Nie uda ci się postać galaktyki do wszystkich diablów. Zaraz ograniczymy szybkość we wszechświecie. Nie będzie się poruszać szybciej niż światło Boże.

— Parzysta!

— Nieparzysta!

— Parzysta!

— Parzysta!

— Parzysta!

Już miliony lat trwa gra, a Szatan ciągle jeszcze przegrywa. Nie może maszynek pokonać Boskiej mądrości.

— Nieparzysta!

Bóg nieustannie zmienia taktykę gry. Nie może za nim nadążyć Obludnik.

Zapalają się i gasną gwiazdy, zderzają się z sobą światy, lecz ogólny rachunek jest na korzyść Boga.

— Parzysta!

— Parzysta!

— Parzysta!

We wrzających oceanach pojawiają się łańcuszki kwasów nukleinowych.

— Nieparzysta!

— W oteczkę je! W oteczkę! — triumfuje Szatan. — Ani żywe, ani martwe! Te kulczki jeszcze się nam przydadzą.

— Nieparzysta!

Pojawiają się i giną cywilizacje.

— Parzysta!

Z każdym stuleciem wzrasta rachunek Szatana. Na próżno archaniołowie usiłują pomóc Bogu w znalezieniu najpewniejszego systemu gry; maszyna dawno już przeanalizowała wszystkie warianty.

— Nieparzysta!

Hordy Czingiz-Chana niszczą ogniem pola i osady.

— Parzysta!

Ryzy oblok gazu posuwa się nad okopy omotane rdzawym drutem.

— Parzysta!

Aniołowie zatykają nosy od smrodu bijącego z kominów krematoryjnych.

— Nieparzysta!

Światło, jaskrawsze niż tysiące słońc, oświetla rajskie szalasy. Unoszą się atomowe grzyby.

— Nieparzysta!

— A niech go błoto! — mówi Bóg wstając z tronu. — Koniec gry. Inaczej wszyscy stracą wiarę w Boską mądrość.

Nieważne, jak się tam nasza rozmowa potoczyła dalej — faktem jest natomiast, że dalszą podróż odbyłem w towarzystwie Amerykanina, co się okazało być Polakiem i to nie na żaden Spływ Międzynarodowy, gdzie miałem obserwować topiących się innostralców, a zupełnie gdzie indziej. I tu jest początek historii tyleż dziwnej co niecodziennej, która mi mister Brown, bo tak go będziemy umownie nazywali, opowiedział, smarując od czasu do czasu gardło pejsachówką. Ale przedtem jeszcze — dlaczego właśnie mister Brown, a nie na przykład Józek Kowalski albo Tadzio Wójcik? Bo mi właściciel czerwonego jak krew byka Jaguara, wożąc mnie po Rzeszowskiem i Kielecczynie, oświadczył:

— Napisać sobie możesz synu wszystko, ale nazwiska prawdziwego ci nie powiem, bo czort wie, czy ktoś z moich gdzieś tu jeszcze nie żyje przypadkiem, więc po co mu to.

Mister Brown urodził się w rodzinie, która chlubiła się herbem starym, udziałem w szturmie na Samosierze, tradycjami z obu powstań, emisariuszowskimi praktykami, konszachta- mi z masoneria, a także liczny- mi podrózkami swych członków kibitką na białe niedźwiedzie, jak również uczestnictwem w wojnie japońskiej oraz w różnych innych awanturach w Europie i w Azji bliższej i dalszej na przestrzeni ubiegłego stulecia. Jak widać więc, rodzinka mister Browna krew miała w żyłach nie wodę i pchała się w każdą możliwą

awanturę, kierując się patriotyzmem, honorem lub po prostu z czystego przypadku. Nic tedy dziwnego, że obrastając w splendor traciła powoli majętność, aż zesłała do rządu szaraczkowych szlachetników gniewających się w jakichś tam zaściankach, niewiele różniąc się od prostych chłopów. I tak pozostali wreszcie jeno pamiętali jakieś po chałupach, szabliska rdzewiejące na ścianach i legendy. Jak ongiś za wrogiem, tak trzeba teraz było za plugiem chodzić...

Atoli jeden z rodu, z tej jego części, co białe niedźwiedzie z woli Imperatora pasad musiał, jakimś tam zdarzeniem losu w Sankt-Petersburgu wykształcenie zdobył inżynierskie, do kraju nadwiślańskiego powrócił, tartak założył, a także handlem i wynalazkami zaczął się parą. On to właśnie był głównym sprawcą przyjazdu na świat naszego mister Browna. A stało się to roku pańskiego 1892. Marzył też, jak większość zresztą odców, że syn jego z czasem wykształcenie zdobędzie, zaszczyty i pieniądze. I sprawa była na najlepszej drodze, bo synalek nawet do klas wyższych gimnazjum już uczęszczał, atoli wdał się w tak zwana „afere polityczną” czyli strąk jakiś przeciw Najmilszemu Panu- jącemu i niebieski mundurek na wileczy bilet musiał zamienić. Nie pierwszy raz w tej rodzinie za patriotyczne gesty przyszło konsekwencje ponieść.

— I wtedy uciekłem z domu. Ze wstydu i ze złości. Przez Galię do Niemiec. Z Niemiec

do Holandii. Bez pieniędzy. A w Holandii na statek. Wziął mnie taki jeden szyper, co do Afryki pływał z każdym towarem. Byłem za chłopca od wszystkiego. A najpierw tego mu nie zapomnę, że lał mnie lina, owinięta w skórę rekina. Zdzierała skórę do żywego mięsa. I dlatego nie lubię Holendrów. Goddam, taka ich mać! — mój mister Brown splukał swój żal i gniew sporym lykiem pejsachówką.

— Wreszcie w Afryce mu nie wytrzymałem. Gdzieś w Luanda chyba, albo w Zatoce Gwinejskiej uciekłem mu. Robilem tam wszystko. Nawet lemury łapałem na Madagaskarze, kopalem diamenty, a to — mister Brown pokazuje na dwa brakujące palce u lewej ręki — obiecał mi w Casablanca taki jeden Hiszpan, co miał w swoim głupim łbie tylko sperme i zardrość. A polem zacząłem robić na Balearach, przy Gibraltarze i Marsylii z przemysłnikami. Ganiłi nas wszyscy: Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Angliey, Francuzi. Ale to było wszystko nie. Dopiero jak żeśmy z jednym Szwedem porwali z portu w Neapolu kapitana portu z jego własnym jachtem — to się zaczęło. Okup żeśmy dostali. Ale trzeba było wiać. I wtedy dałem nogę do Ameryki.

Tu też robiłem za różnych ludzi. Nawet złoto kopalem. Ale najchętniej to odwiedzałem murzyńskie burdele. Mówię ci, synu, te czarnule mają coś takiego... Raz się do mnie przy-

czepiło paru takich, co uważało, że białe nie powinien tam lazić. A ja wtedy jeździłem tak- ksa — starym, sprchniałym fordem. Cztery trumny by się do tego mojego forda zmieściły — taki był wielki. Ale oni nie znali polskich sposobów. Jak złapałem korbę, to frajerzy pogubili nie tylko spławy, ale i te swoje płaskie kapelusze.

Lyknęliśmy za dobre polskie sposoby i mister Brown ciągnął dalej:

— Raz przechodził do mnie do hotelu trzech gości, jak papugi ubranych i pytały mnie, czy mam już dla nich robotę. — Jaką robotę? — pytam. To oni na to, że bym nie strugał wariała, że miałem im nadać skok i że szefa już szlag trafił, bo mu się spieszy i że zaraz mnie wykończą, bo im się zdaje, że ja pracuję dla jakiegoś tam Włocha, czy kogo innego. Co miałem robić? Na sąsiedniej ulicy był sklen jubilerski — to im mówię, że mają go załatwić jutro, o trzeciej nad ranem i że najlepiej robić to przez piwnice. Po tygodniu wracają i kładą mi kupa forsy na stół, klepią po plecach i mówią, że skok się udał i że szef jest bardzo zadowolony, i że chce, że bym dawał następ- ną robotę i że bym wreszcie przestał pracować dla tego parzywego Włocha, bo on to bardzo nie lubi. No, to ja zacząłem sobie chodzić po Chicagu, (bo tam akurat to się

wszystko działo) i wybierać: tu jubiler, tu bank, tu lombard, tu jakiś lokalik... Skoki się udawały, a ja brałem forsy. Do- bra rekę miałem. Ani razu nie miał wpadki. Uzbierałem kupę forsy. A wszystko to było dlatego, że wtedy ci trzej pomylili drzwi. Obok mnie mieszkał rzeczywiście facet, co nadawał roboty. Ale on pracował na dwie strony i wreszcie stuknęli go ci od tego Włocha. Ale to mi dopiero później powiedział szef, jak się z nim przyjaźniłem i już byłem w gangu swój facet. A potem wszedłem w różne interesy, już bardziej legalne, tu mister Brown lyknął pejsachówką i lypnął do mnie znacząco błękitnym okiem snod krzaczastych białych brwi.

— A potem przyszła ta cholerna wojna. Goddam, my boy! Mówili, że jestem zbyt stary, żeby iść do wojska. Ale ja miałem chody i pieniądze. I byłem w dżungli i tłułem tych przekleństw żółtków. To było piekło. Z nieba lała się woda i Japonczycy. Nie wiadomo, czego było więcej wody czy Japonczycy. Wróciłem z malar- ią, trzema kulami w brzuchu i obiecałem sobie, że z Japonczami interesów robić nie będę. Ale teraz robie. Oni są w gruncie rzeczy sympatyczni. Tylko twardzi. Twardzi jacy mali i nufa żniu zabrzmiła w głosie mister Browna. Splukał ją natychmiast pejsachówką.

— Wreszcie na starość przy- chętałem zobaczyć Polskę. Z moich nikogo nie znalazłem. Pomarli? Poginęli? Rozny-

wałem, szukałem. Jedni pewnie na wojnie. Drugich pozabiali. Tak zawsze z nami było. Albo oczyjna, albo awantura. Spoko- jnie nikt w naszej rodzinie nie siedział. A ja stary jestem, nikogo nie mam. Stary i ostat- ni z rodu. I na dodatek były gangster z herbem i kupą for- sy...

Stary mister Brown zamyslił się.

— Dziwisz się, że jeszcze mówię po polsku i że nie zapomniałem. Tego języka zapomnieć nie można. Naszych spotkań wszędzie. Czasem zdawało mi się, że na każdym kamieniu siedzi Polak...

Mój skuter był już jako tako naprawiony. Wracałem do Łodzi już bez „zamszowej bluzeczki” na ustach. Te kilka dni spędzonych ze starym szlagonem-gangsterem, którego życie mogłoby być tematem przygodowej powieści, nastroiło mnie refleksyjnie. Ile takich życiorysów? Ilu takich ludzi? Aż dziwne, ilu spośród tych ludzi kiedyś tam wreszcie wraca. Jedni, żeby złożyć tu swoje kości. Inni, żeby przed ostatnią podróżą dotknąć tej ziemi, pocz- czuć jej zapach, zabrać w głąb siebie jej obraz. Masz, polska ziemia, niezwykłą moc w sobie, moc przyciągania nawet tych, co — zdawałoby się — zupełnie o tobie zapomnieli.

ANDRZEJ GRUN

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Moskwa jest stanowczo za dużym miastem jak na nasze nieco prowincjonalne gusty, pochodzimy z niewielkich miast — Mińska Mazowieckiego, Kielc, czy Warszawy, a tu na ulicach bez końca — tłumy obliczane na przeszło sześć milionów ludzi. Słychać wszystkie języki świata, widać gusta dalekiej północy i dalekiego południa, wszystkie kolory oczu i skóry. Na jezdniach ścisk o jakim się nam nawet w zatłoczonej Łodzi nie śniło, a milicja może wrzucić mandat przeciwnie niż u nas, nie za szybką jazdę, lecz za wolną.

Moskwa to jedna ze stolic świata. Prasa, radio, telewizja bez przerwy zapowiadają przyjazdy i wyjazdy dyplomatów, delegacji, grup specjalistycznych. W wielkim hotelu „Rosja” trwa właśnie Międzynarodowy Festiwal Filmowy i można obejrzeć Głęboką Lollobrigidę, oraz Jerzego Kowalczyka, nie mówiąc o pomniejszych jurorach. Barwne afisze zapowiadają występy zespołów muzycznych, teatralnych, orkiestr z różnych stron Europy i świata. Wycieczki zagraniczne na każdej chybą ulicy, turyści ruszają głowami za palcem wskazującym przewodnika, starsze już Amerykanki wystrojone w kapelusze naszych babek, bogato ozdobione różniczkami i owocami, ostrzykają pracownicami namiotkowe zdjęcia, czekają cierpliwie na możliwość zwiedzenia sławnego zespołu cerkiewnego w Zagorsku. Można tam za „Bóg zapłać” wypić srebrnej wody, dobrej na reumatyzm, pomyslnie narodziny oczekiwane dziecko, wotrobie, a także i na oczy, nerki i kamnie żółciowe. Ulice kładą młodocianość, a młodzież ubrana całkiem po naszemu, wesoła, uzbrojona w gitary, rusza na szlaki turystyczne kraju, w którym darmo szukać końca lasu, ziemi i nieba.

Łato w pełni, upalne moskiewskie lato, woła nad wielkie rzeki, nad morza, w góry, do lasów, tylko my, czterech pisarzy polscy, stanowiący delegację pozostajemy na miejscu. Przyjechalibyśmy na otwarcie Dekady Polskiej Książki, aby reprezentować skromnie naszą literaturę. Wiedzieliśmy, oczywiście, że nie będziemy mogli odpoczywać, delegacja, tak to przecież zawsze bywa, funkcjonuje według schematu: spotkanie tu, spotkanie tam, tu dyskusja, tam wymiana zdań, a pośrodku suto obiady, niekiedy zakrapiane, nigdy jednak nie pozabawione okolicznościowych toastów. Jakoż i tak się stało z pewnym bardzo miłym dodatkiem.

Dekada Książki Polskiej ma za sobą wieloletnią tradycję. Jest obchodzona uroczystie i z rozmachem. Sala Domu Wydawcy w Moskwie pełna, chociaż za oknami szalała ulewa, podobna do naszej, ale znacznie większa. Obejrzeliśmy uważnie wystawę polskiej książki. Ekspozycja, jak na moje spodziewanie, zbyt skromna i jednostronna. Przeważały pozycje efektowne dla oka, albumy, wydania ozdobne, nobliwe, nie widzieliśmy natomiast zbyt wielu tłumaczeń z literatury radzieckiej i dawniejszej, choć okazja po temu znakomita. Łódzkie Wydawnictwo reprezentowane było jedną, jedyną pozycją albumową, a przecież wydawało już szereg pozycji z literatury współczesnej naszego wschodniego sąsiada.

Polska, jak dowiedzieliśmy się z przemówienia wstępnego, otwierającego Dekadę — stoi wyraźnie na pierwszym miejscu w licznej grupie literatury przekładanych na język rosyjski. Dotychczasowy bilans istotnie imponujący, obejmuje bowiem 232 pisarzy, 1688 tytułów i ponad 60 milionów egzemplarzy wydanych książek. Rej wodni, proszę sobie wyobrazić, Henryk Sienkiewicz, a nie „Cztery nocerni” i bardzo dzielny pies. Czytelnik radziecki bardzo jest do naszej

klasyki przywiązany, „Trylogia”, „Arcyżacy”, „Quo Vadis”, roznoszą się szociutko w setkach tysięcy egzemplarzy, nie tylko zresztą w języku rosyjskim, ale także w językach wielu republik Radzieckich. Drugie miejsce zajmuje Bolesław Prus, zwłaszcza zaś „Faraon” i „Lalka”. Ostatnio wzrosło zainteresowanie „Chtopami”, zapewne po naszym serialu telewizyjnym. Nasze seriale, warto nawiasem zauważyć, cieszą się w Związku Radzieckim dużą popularnością. Sam oglądałem ubiegłego roku rozentuzjarmowyanca Abhazyjczyków, którzy chcieli dosiadać koni i pędzić po obojętności jednego z odcinków „Pana Wołodyjowskiego”. Na Turków, jeśli się nie mylę, seriale podtrzymują nie najlepszą ostatnio reputację polskiego filmu, dowodzą jednak równocześnie wielkiego wpływu Sienkiewicza, Reymonta, a poza serialami jeszcze Żeromskiego, Iwaszkiewicza, czy Andrzejewskiego, na rozwój naszej współczesnej sztuki filmowej, nasuwają przy okazji smutną refleksję — czymże by została ta popularna sztuka bez klasyków i kilku najwybitniejszych pisarzy współczesnych? Kto tu z kogo żyje?

Przewodniczący radzieckiego komitetu wydawnictw poinformował zebranych o dużej popularności Orzeszkowej, Mickiewicza, a także wielu pisarzy współczesnych — Iwaszkiewicza, Żukrowskiego, Bratnego, Przymannowskiego, Parandowskiego, czy ostatnio — Kawalca. Literatura polska jest więc lubiana i czytana, na dobrą sprawę nie było wydawcy, a rozmawialiśmy z wieloma, który by nie dopytywał się o naszą współczesną literaturę, nie prosił o jakieś konkretne sugestie. Wynika z tego wniosek może i nie nazbyt wesoły, ale pożyteczny: wzajemna informacja o pisarzach i książkach nie przedstawia się jeszcze najlepiej, łatwo więc nie tyle o pomyłki, ile o przeoczenie zjawisk cennych literacko i godnych przekładu. Ta refleksja narzuciła się nam wszystkim, kiedy trząsały flesze, mruzczały cichutko aparaty telewizyjne i pracowały cierpliwie magnetofony radia moskiewskiego. Z naszej strony przemawiał sekretarz Ambasady Rzeczypospolitej Ludowej w Moskwie — pan Jerzy Piątowski, stary łodzianin, przed niewielu jeszcze laty przewodniczący ZSP w naszym mieście. O stosunkach pomiędzy naszymi i radzieckimi pisarzami mówił znakomity prozaik Sergiusz Antonow.

Rzeczywisty przykład dobrej pomyślnych stosunków wzajemnych znalazłem bez trudu w redakcji polskiej reprezentacyjnego miesięcznika — „Literatura Radziecka”. Przyjął nas, to znaczy Tadeusza Chrościelewskiego i mnie, redaktor wersji polskiej — Walerian Arcimowicz. Nie jestem tłumaczem, a kiedy mówię po rosyjsku pomagam sobie jeszcze od czasu do czasu rękami, może więc dlatego doznałem uczucia, jakie towarzyszy odkrywcy nieznanego, a cennej i serdecznej wartości. Współpraca naszych łódzkich pisarzy z radzieckimi poetami, ostatnio zaś i prozaikami i dzieje pełną parą. Każdy niemal numer tego świetnie redagowanego miesięcznika reprezentowany jest przez nazwiska moich sąsiadów — Chrościelewskiego, Huszczy, Kononowicza, Sikiryckiego czy też Wawrzkiwicza, a wszyscy razem tłumaczą prawie tyle co Leopold Lewin. Podaje ten fakt, żeby podkreślić pracowitość naszych łódzkich przekładowców, bardzo ale to bardzo na literackiej giełdzie Moskwy i nie tylko Moskwy, cenionych. Ich przekłady, drukowane w naszej prasie literackiej, nie są i polskiemu czytelnikowi obce. Nie bez znaczenia jest z pewnością fakt, że redaktor Arcimowicz zna Łódź jak własną

klaszę, w naszym mieście pobierał pierwsze nauki, pierwsze dwójki i piątki otrzynał, a na starą kamienicę przy ulicy Narutowicza patrzył zawsze z sentymentem. Liczy się jednak przede wszystkim realna współpraca, której efektem są książki — antologie poezji radzieckiej, tomy poezji i prozy.

niego inteligenta radzieckiego, towarzyszy mu po prostu, a często przed niego wybiega. Zainteresowania dzielnego inżyniera, młodego naukowca, działacza kulturalnego poszły znacznie na przód. Interesują go w równej mierze zjawiska z dziedziny literatury, malarstwa, teatru, co i podróże międzyplanetarne w niedalekiej

rzecz pogłębionej charakterystyki psychologicznej bohatera. Wyraźnie rozwija się typ prozy opartej na rzetelnym wykorzystaniu dokumentów, jak to bywa u Konstantego Simonowa, ale równocześnie rozwija się forma mocno subiektywizowanej formy wypowiedzi. Wystarczy przeczytać „Powieść kowieńską” Alfonsa Bielauskasa, świętego pisarza radzieckiej Litwy, klasyczny przykład powieści, opartej na monologu wewnętrznym, modnym przecież u nas i na zachodzie Europy. Z tą wszakże różnicą, że pisarze radzieccy szukając, czy też przejmując nowe propozycje stylistyczne, nie porzucają swoich pozycji światopoglądowych. Sergiusz Antonow, Jurij Kazakow, Włodzimierz Tendriakow, czy Walery Bykow, bardzo i u nas popularni, to także pisarze wewnętrznego życiorysu, a także specjaliści od „lirycznych wydarzeń”.

Wieczorem, kiedy zmęczony kropnąłem się do łóżka, znalazłem potwierdzenie niemal wszystkim, co o odradzającym się bogactwie literatury radzieckiej usłyszałem. Przewodniczący dwa opowiadania. Pierwsze z nich, zatytułowane — „Skarb Alonki” napisał Iwan Krasnobryż, rodem z Kubania, inżynier energetyk z zawodu, a pisarz z powołania. Prześliczna to historia, jak najbardziej współczesna, o geologach badających niezmiernie przestrzenie syberyjskiej tajgi, gdzie — jak już widać — nie brakuje prawdziwych skarbów — nafty, gazu, cennych kopalin. Opowiadanie jest na wskroś romantyczne, nie ma absolutnie nie współczesnego z produktyniakami. Młodość uzbrojona w wiedzę, tęskniąca za normalnymi, ludzkimi przeżyciami styka się z niekiedy przez człowieka przyrodą. Tysiące młodych ludzi idzie na wschód, ku lasom bez końca, aby przeżyć dobrą przygodę.

A drugie opowiadanie wyszło spod pióra Gabita Musrepowa, pisarza kazachskiego. „Zew życia” ma w sobie coś z Londona, jest to jednak poezja czystej wody. Szary Piorun Musrepowa, bohater opowiadania, to ryba, samiec wodzący ławicę na gody. Walka z drapieżnikami o doświadczenie do morza, cudowny opis składania ikry, zdumiewająca znajomość życia podwodnego świata — przyznam — zaskoczyły mnie. Opis zdumiewa prostotą, ale i jakąś filozoficzną mądrością, jednoczącą człowieka z przyrodą. Radio podawało co jakiś czas, że nowe grupy młodych ludzi ruszyły właśnie ku wielkim i dalekim rzecekom radzieckiego wschodu.

Wspominałem już wcześniej, że Moskwa to jedna ze stolic świata. Kulturalnych stolic także. Lato, sezon nieco już ogórkowy, ale muzea czynne. Przypomnieliśmy sobie malarstwo rosyjskie i radzieckie wystawiane w Galerii Tretjakowa

skiej żalując trochę, że katalogu w języku obcym nie uświadczysz. Zajrzeliśmy i do Galerii Puszkowskiej. Dużo płócien Rembrandta, jeden Boticelli, wiosenny, powiewny, długa seria Rubensa, Van Dycka, jest i posępny Riberra, podziwiany kiedyś w muzeach rzymskich przez Żeromskiego, nie brakuje Cranacha i Valazqueza. Imponująco przedstawia się malarstwo francuskie, przeważnie impresjonistyczne. Stawialiśmy na długie chwile przed Manetem, Matissem i Cezannem. Osobno ekspozycyjny jest Van Gogh i niezwykle reprezentacyjnie i bogato — Leger. Mało takich galerii w Europie.

Rzecz prosta zajrzeliśmy także do Zagorska. Na szczęście nie padało, więc mogliśmy dość dokładnie obejść ten jedyny chyba w tym rodzaju zespół zabytków sakralnych. Srebrnej wody nie piliśmy, słuchaliśmy natomiast smutnych pieśni religijnych w wyłożonej cerkwi, pod niezapomnianymi ikonami Rublowa.

W drodze powrotnej z Zagorska zjedliśmy co najmniej jedną dziesiątą żubra pod smakowitą postacią pieczeni. I zgodni byliśmy co do tego, że należy jak najrychlej likwidować u nas hodowlę pieczarki na rzecz rozwoju hodowli żubrów. Podaję adres — miejscowość Puszkino, restauracja „Rosyjska bajka”, pięknie stylizowana na dawny, ludowy zajazd.

Skoro już jesteśmy przy pieczyście powiem, że ostatni wieczór w Moskwie spędziliśmy na „Albatrosie”. Jest to restauracja pewnie nie najbardziej elitarna, ale ogromnie swojska. Mieści się na potężnej, dwupiętrowej łajbie, przycumowanej u brzegu rzeki Moskwy. To całkiem duża rzeka, po której uwijają się statki handlowe i szybkie wodoloty. Kilka lat temu była to bardzo brudna i martwa rzeka, obecnie powróciły już do niej ryby. Sami słyszeliśmy radosne okrzyki wędkarzy — jeest! Ryby nie widziałem, bo było trochę daleko.

Bywały „Albatros” to zwykły, przeciętny Rosjanie. Siadają przy połączonych stolikach, owszem, nie powiem, popijają, ale jakoś tak wesoło, swobodnie i śpiewają swoje melodyjne pieśni, rytmicznie, zgodnie, na głosy. Przy takiej konkurencji spawaliśmy od razu i nikt nie usłyszał piosenki o dziecwiec, która szła do laseczka, do zielonego, ani o górach, któremu było żal odchodzić. W restauracji występował zespół cygański, godny doprawdy lepszej sceny. Nasłuchaliśmy się pięknych pieśni rosyjskich, cygańskich i chyba węgierskich, a stara łajba kołysała się jak we śnie, wznosiły się łagodnie i onadały kolorowe światła Moskwy.



ZAPISKI Z MŁODEGO KRAJU

Trzeciego dnia naszego pobytu w Moskwie przestało padać, temperatura skoczyła wysoko, trzydzieści stopni z małą dokładką, mokrzy więc z kolei od potu, uwijaliśmy się żwawo po Moskwie. Wzdłuż murów Kremla kilometry sznur ludzi zbliża się powoli ku Mauzoleum Lenina. My także patrzyliśmy przez chwilę na zamysłoną twarz przywódcy państwa radzieckiego i jakoś mimo woli przypominały się książki i filmy sięgające tamtych pamiętnych lat, moje pierwsze lektury jeszcze z akademickich lat — Szolochow, Paustowski, Aleksy Tolstoj, Serafimowicz, Fadiejew. Dopadła nas pod murami Kremla ta niedawna jeszcze przeszłość, przy moście Timoszenki, pod tablicą poświęconą Gorkiemu.

Przyszłość jest jednak równie silna, jeśli nie silniejsza w tym kraju. Złożyliśmy wizytę w redakcji „Literackiej Gazety”, jedynej w swoim rodzaju tygodnika. Na przestrzeni kilku lat nakład tego pisma wzrósł z 300 tysięcy egzemplarzy do 1.600 tysięcy i gdyby nie pewien odczuwalny jeszcze brak papieru nakład przekroczyłby grubo 2 miliony egzemplarzy. Gwarzyliśmy z Witalim Syrokomskim, zastępcą naczelnego redaktora na temat tego fenomenu. Jakże to jest? Po godzinie w Moskwie darmo szukać pisma, samiśmy o tym przekonani. Nie jest to bynajmniej aluzja do naszych łódzkich „Odgłosów”, każde tego rodzaju przyrównanie do polskiej sytuacji byłoby mocno kulaśkawe. W każdym razie „Literacka Gazeta”, jako pismo przeznaczone dla współczes-

przyszłości, osiągnęła myśli technicznej, a także problemy moralne, obok politycznych, czy nawet bytowych. Jakże daleko odbiegło to starannie redagowane pismo od tradycyjnego, kawiarnianego pisma literackiego, choć literaturze wiele poświęca miejsca. Rzecz w tym, że problematyka życia artystycznego jest umiejętnie kojarzona z życiem w ogóle.

Mówiliśmy wiele o radzieckim zapleczu literackim. W kraju Rad nie ma grup literackich, tych hulaśliwych grup, które często umierają po wielkim wysiłku, jakim bywa zazwyczaj spłodzenie szumnego manifestu, czy też deklaracji artystyczno-ideowej, która ma rozpoczynać nową erę, a kończy się przy dużej wodce. Istnieją natomiast kluby literackie. Ile ich jest? Tego redaktor dokładnie nie wie, ale będzie około 10 tysięcy. Z tych klubów wyrastają swoistego rodzaju grupy, wyróżniające się odkrywczą problematyką i specjalnościami, jeśli mówić o gatunkach literackich. Ostatnio zwracają uwagę grupy — rostowska, pozostająca w kręgu oddziaływania Szolochowa, smoleńska grupa poetów, czy nowogrodzka — prozatorów. Ich prozocje formalne i tematyczne są uważnie śledzone przez zespół „Literackiej Gazety”, która szuka nowych i kluczowych tendencji w literaturze radzieckiej. A jest tych tendencji doprawdy niemało. Można mówić, chociażby na przykładzie Konstantego Fedina, o odejściu od literatury wyrczającej się dość niezdarnie publicystyką na



ODGŁOSY

MAGAZYN WAKACYJNY **Nr 6**

TRYPTYK

Na początku przyszłego sezonu artystycznego odbędzie się w Krakowie prawykonanie „Tryptyku” (tytuł roboczy) Zygmunta Koniecznego. Solistką będzie Ewa Demarczyk, a towarzyszyć jej będą chór i orkiestra Opery Krakowskiej pod dyrekcją kompozytora. W jesieni także Ewa Demarczyk uda się do Kolonii, gdzie na zaproszenie tamtejszego Radia wystąpi z galowym polskim recitałem.

MONUMENTALNE organy Holandii

Na początku lipca koncertował w Amsterdamie łódzki organista — Mirosław Pietkiewicz. Muzykował w kościele walońskim, słynnym z XVII-wiecznych organów i znakomitej akustyki. Mirosław Pietkiewicz wykonał między innymi szesnastowieczne kompozycje polskie (Mikołaj z Krakowa) oraz utwory Bacha. W sierpniu Mirosław Pietkiewicz udaje się ponownie do Amsterdamu, aby dokonać nagrań dla stałej audycji radiowej „Monumentalne organy Holandii”. W programie zaplanowanej audycji, znajdzie się dawna i współczesna muzyka polska. Te ostatnie reprezentować będą utwory Paciorkiewicza oraz łódzkich kompozytorów — Pietrzaka i Bauera.



JURIJ NIKOLSKIJ

Znajomość

Mam trudności w zbliżaniu się do ludzi i bardzo cierpię z tego powodu. Mimo, że byliśmy kibicami tej samej drużyny, że siedzieliśmy obok siebie w jednym rzędzie, nie mieliśmy okazji zapoznać się. Włec w czasie najbliższego meczu, po prostu klepnął mnie i... złamał mi obcyzek! Zebrałem się w sobie i stłumiłem jęk. Sasład był w wyśmienitym nastroju, nasi wygrali...

— Dobrze chłopcy! A to świetne zagranie! Oj, oj, oj! Brawo! — I znów klepnął mnie z wielkiej radości po mojej drugiej zdrowej ręce i... wyrwał ją ze stawu.

— Nie, ty tylko pomyśl! Strzał z czterdziestu metrów! Gol!!! — Klepnął mnie pomiędzy łopatkami deformując mi kręgosłup.

— Czy wiesz — tłumaczył mi — nasi utrzymują przewodnictwo w lidze do końca sezonu. Bodaj bym się stąd nie ruszył, jeśli przesadzam... — Przyjaznym gestem ponownie walnął mnie po kolanie nadrywając mi ściegna.

Nie mogłem się już poruszać, a jego zachwył nie miał granic.

— Patrz, patrz! — Tracił mnie w bok gruchocząc zębami — Znow nas w ataku! Złoto, nie drużyna!

Runąłem pomiędzy rzędy, albowiem za wspaniałym atakiem pojawił się nie mniej wspaniały środkowy obrońca, także złoty chłopak...

Mój znajomy odwiedził mnie w... szpitalu. Leżałem w gipsie, z nogą na wyciągu, wysoko uniesioną...

— Kiedy przywieźli cię tu, nasi wygrali. Opowiem jak było! Szkoda, że sam nie widziałeś... To! było zwycięstwo, ho, ho! — Nachylił się nade mną i... linka zerwała się, a moja noga wyśladowała na jego głowie...

Teraz nie leżę już sam. Mój przyjaciel leży obok. — Nie trać otuchy! — śmieje się. — Jeszcze sobie pochorujemy nieraz!



ŁODÓWKA

Miałem akurat dzień wolny. Postanowiłem wypaść się do oporu, ale żona miała zupełnie inny pomysł.

— Masz tu siedem tysięcy — powiedziała — kupisz łodówkę. Sklepy otwierają o dziesiątej.

Spane do oporu miałem już z głowy. Żona poszła do pracy. Poleżałem jeszcze trochę i poszedłem do lazienki.

Dzień był pogodny. Było jeszcze dobrze przed dziesiątą. Szedłem sobie spokojnie. Kupię szybko łodówkę — myślałem — i może wybiorę się do kina. Ale diabeł — jak się okazało — tego dnia nie spał. Objawił mi się nagle w postaci przyjaciela sprzed wielu lat. Stał przed mną i zawołał.

— Co u ciebie? Wcale się nie zmieniłeś!

— Dziękuję — powiedziałem — po staremu. Jakoś leci.

— Gdzie idziesz? — indagował przyjaciel.

— Kupię łodówkę.

— O tej porze?

— Właśnie. O dziesiątej otwierają sklepy.

— To jeszcze mamy czas. Może byśmy coś przegryźli.

I przegryźliśmy. Śniadanko było skromne, powiedziałbym — żołnierskie. Sućto za to zakrapiane.

Przyjaciół mam na szczęście sporo. Było już dobrze po południu, gdy zdecydowałem się wpaść do Jerzego. Jerzy był w domu. Pił

kawę i nad czymś zawzięcie pracował.

— Kupuję łodówkę — powiedziałem zaraz od progu.

— Cieszę się — Jerzy uśmiechnął się — ale chyba nie masz zamiaru kupować jej u mnie.

— Przeciwnie — wyjaśniłem — u ciebie mam zamiar pożytyć półtora tysiąca złotych.

— Brakuje ci?

— Powiedzmy. Sam rozumiesz... Spotkałem Antka.

— Rozumiem — powiedział Jerzy, choć nie potrzebował rozumieć. Pachniałem jak gorzelnia. — To i tak masz szczęście, że brakuje ci tylko półtora tysiąca. Mojemu przyjacielowi zabrakło kiedyś znacznie więcej.

Rzecz zdarzyła się w Warszawie. Jej bohater nazywał się — powiedzmy — Józek. Tak jak i ja wyszedł po łodówkę. Pieniądze dała mu żona. Tuż przed sklepem — tak jak i ja — spotkał kolegę. Nie widzieli się kilka lat. Jak tu nie oblać takiej okazji. Oblali. Józek postanowił odprowadzić kolegę. Ten był w Warszawie przejazdem. Poszli na dworzec.

Obudził się następnego dnia. Dzwonił telefon. Rozejrzał się. To chyba hotel — pomyślał. Ale jaki i gdzie? Telefon dzwonił nadal.

— Halo!

— Proszę wstawać — rozległ się głos w słuchawce.

— Za pół godziny ma pan pociąg do Warszawy. Bilet

jest w kieszeni marynarki. Proszę się pośpieszyć.

Józek pośpieszył się. Dworzec był po drugiej stronie ulicy. Wsiadł do pociągu. Bolała go głowa. W ustach czuł smak piasku. Wyciągnął portfel. Było w nim ostatnie 20 złotych. Starczy na kawę — pomyślał i poszedł szukać restauracyjnego wagonu.

Usiadł skromnie i czekał na kelnera. Ten pojawił się błyskawicznie.

— Zaraz podam — powiedział.

— Ależ ja...

Kelner zjawił się po niedługiej chwili. Niósł tacę pełną kanapek, kawę i butelkę koniaku. Wszystko to postawił przed Józkiem.

— Proszę pana — powiedział Józek. — Przecież ja nie prosiłem, bo ja już nie mam...

Ale kelner nie dał mu dokończyć.

— To od nas — powiedział. — W prezencie. Taki mały rewanż. Za wczorajsze. Wczoraj fundował pan całemu wagonowi i nam wszystkim z obsługi. Wypiliśmy cały zapas wódki i zjedliśmy wszystko, co było do zjedzenia. Dziś pan jest naszym gościem.

W Warszawie na dworcu czekała żona Józka. Kolega okazał się niezwykle troskliwym. Nie tylko kupił bilet powrotny, ale też zadzwonił i uprzedził, kiedy Józek wraca.

Od Jerzego pobiegłem prosto do sklepu. Przyjaciół mam wielu. Może się okazać, że znów kogoś spotkam. Łodówkę kupilem.

EDWARD ZAPAŁA



Nasza rada: — Koniecznie kup sobie pinczerka!

Kłodzko

Nad placem wznosi się monumentalny masyw cytadeli. Wchodzisz po schodkach ciągle w górę, przechodzisz pod niskimi pękatymi bramami, zagłębiasz się w chłodne zakamary, oglądasz strone wiszące nad twoją głową bloki kamienne, podziurawione strzelnicami, mijasz cały system obronnych korytarzy, labirynt ciężko sklepionych pomieszczeń i ciągle idąc w górę błędzisz w głębokich studniach zacisznych blokami murowanego kamienia i podziwiasz całe to podziemne miasto i kiwasz głową nad ludźmi, którzy tę potworną ciężkość zbudowali przeciw sobie — dla obrony. A wszystko jest wkute w stromą skałę. Wspaniały punkt do trzymania w szachu leżące u stóp miasto.

A gdy wreszcie wygranolisz się na sam szczyt twierdzy na platformę urządzonej do oglądania rozległej panoramy ujrzysz Kłodzko pod sobą jak na obrzymiej tacy.

I gdy usiądziesz, aby odpocząć i popatrzeć na Kłodzko, jak z lotu ptaka, małe uliczki i placiki zaludniają się nieoczekiwanie małą kucykami. Spieszą, przebiegają uliczki tam i z powrotem.

Zza domków wyjeżdżają małe autka, czasem przemiknie mikroskopijny motocyklista lub zabawny pajacyk na małym rowerku. Małe mrowce roją się na małych chodnikach i gdy wytyczysz dobrze słuch, usłyszysz ich cieniutkie głoski albo warkoty samochodzików, które nieustannie krążą. Małe auteczki wchodzi i wychodzą z małych bramek. Coś ze sobą rozmawiają, mają ze sobą jakieś małe swoje sprawy.

Są małe aktorami w codziennych widowiskach, grają małe role w komediach, tragediach, melodramatach, w operach i innych przedstawieniach, których nazw jeszcze nie wymyślono. Pointa tych przedstawień jest tak odległa w czasie i często tak niska, że nie zauważalna. Teatrzyk ten jest tak poplątany, że nie rozoznasz z daleka, gdzie się co zaczyna a gdzie kończy. Teatrzyk ten oglądany stąd, ma setki scenek o małych rozmiarach. Rozmiary te zwiększyłyby się, gdybyś zszedł niżej, a kto wie, czy nie przestroniłby ci całego świata, gdybyś się znajdował wśród aktorów. Ale nie rób tego — zostań raczej tutaj, bo stąd wygląda to wszystko zabawnie, widowiskowo, kolorowo i bogato.

Wysoko nad Kłodzkiem, pod słynnym pasem dalekich lasów biegnie niteczka drogi. Po niej schodzi w dół małe niebiesko-białe gasieniczka autobusu. Czas odjazdu zbliża się — trzeba pożegnać miasto.

WACŁAW KONDEK



POWIĘKSZENIA

TAKIE PROSTE!

W „Literaturze” Jerzy Andrzejewski martwi się: „Cieężki kompleks: dlaczego, gdy pada deszcz, JA moknę bardziej niż inni?” Właśnie dlatego, że JA.

OGłoszenie

„Dziennik Łódzki”: „Mieszkanie przeznaczone do rozbiórki na terenie zakładu, zamienie na inne.” Pomysłowościowe!

ROYAL CASTLE WHISKY

W „Ziemi Kutnowskiej” w rubryce „Dzień dobry, co słychać?” czytamy:

— „Cała Polska już wie, jak smakuje ZAMKOWA, a tylko kofełka owej „whisky”, czyli Kutno nie na ten temat powiedziec nie może. Nie podoba mi się to ani trochę i myślę, że wielu mieszkańców Kutna myśli tak samo jak ja. I to wcale nie ochlapusy, bo dla nich zwykłej „strażackiej” nigdy nie zabraknie.”

Myślmy, że tak myśli okolice arystokracji.



PRZYJACIEL KRÓLOWEJ

W przyszłym roku spodziewany jest przyjazd do Polski znakomitego belgijskiego kompozytora i wirtuoz organowego — Flor Peetersa. W lipcu obchodził on 70-lecie urodzin. Kiedy zaproszona na przyjęcie urodzinowe królowa belgijska Fabiola zapyta Peetersa kto na nim będzie, odpowiedział: sami przyjaciele. „Ponieważ zależam się do pana przyjaciół” — „będę także i ja” — przyjęła zaproszenie królowa. Zapewnieniu królowej można wierzyć. Dwa lata temu, w uznaniu zasług, nadała kompozytorowi tytuł barona.



HISTORIE MIŁOSNE

Skojarzenie dwóch słów — gwałt i miłość z pewnością przyjęte zostanie z niesmakami, ba nawet z oburzeniem. Jak bowiem można łączyć — zada pytanie niejedyn z Czytelników — ohydne przestępstwo z tak pięknym uczuciem, jakim jest miłość. Można, o czym niech świadczą dwie przytoczone poniżej historie.

I

Młoda kobieta nerwowo gniotła w dłoń chusteczkę. Stojący obok niej mężczyzna był wyraźnie zmieszany.

— Tak, panie prokuratorze, Kocham go i za dwa tygodnie bierzemy ślub.

Wyciągnęła z torebki świstek papieru i podała sędzemu za biurkiem mężczyźnie. Ten z niedowierzaniem stwierdził, że mówi ona prawdę. W Urzędzie Stanu Cywilnego złożone zostały odpowiednie papiery, dopełniono wszelkich formalności i w ten oto sposób Jan W. stał się dla Anieli D. osobą bliską i mogła skoryzyskać wobec niego z prawa odmowy zeznań. Jeżeliby chciała mówić, musiałaby przed sądem opowiedzieć historię ich poznania się...

Miesiąc bowiem wcześniej Jan W. wraz ze swoim kolegą Zbigniewem C. pił wino w parku pewnego niewielkiego miasteczka naszego województwa. Było to późnym wieczorem, w sobotę, park już się wyłudnił, więc bez przeszkód mogli tam kontynuować swoją libację. Kiedy wypili już trzecią butelkę i zrobiło się nudno Jan W. zaproponował, aby poderwać jakąś dziewczynę. Aniela przechrędziła wtedy właśnie przez park, idąc do domu, ja więc obaj mężczyźni zaczęli. Nie chciała z nimi rozmawiać, byli pijani. Jej opór rozwaśnili oba mężczyźni. Wzłągnęła Aniela D. w doskonały gwałt. Krzyki kobiety usłyszał przechodzący tamtędy również do domu funkcjonariusz MO. Pospieszył więc z pomocą i udało mu się ująć Zbigniewa C. Jan W. umknął i ukrył się.

Ziawili się dopiero później w prokuraturze wraz ze swoją partnerką. Aniela D. kontynuowała swoją deklarację małżeństwa jakby sama chciała się o szustności tego kroku przekonać.

— Przecież R. jest małym miasteczkiem, wszyscy o gwałcie już wiedzą. Teraz żaden chłopak nie będzie mnie chciał.

Małżeństwo uratowało obydwu gwałcieli od kary. Jan W. w ogóle nie przeprowadził się do żony, a w rok po ślubie rozwiedli się.

II

— Ja go Kocham, niech pan prokurator wypuści Włodka z

więzienia — szlochala Wanda R. w gabinecie prokuratora

— On wcale mnie nie zgwałcił...

— A tamci trzej też nie?

— Też nie... ja sama tak chciałam. Skłamałam, że mnie zgwałcił. Wszystko odwołuję, niech pan tylko wypuści Włodka.

— Wie pani, że grozi jej więzienie za fałszywe zeznanie i wprowadzenie władzy w błąd?

— Wiem. Mogę siedzieć, niech go pan tylko wypuści...

Poznali się przed trzema miesiącami. Siedziała sama w małym miasteczku kawiarni i nudziła się. Nie oponowała więc, kiedy do jej stolika przysiadło się czterech chłopaków. Zaden jej się nie podobał, ale jak miała do wyboru nudzić się sama czy nie nudzić w towarzystwie wybrała oczywiście te drugie ewentualność. Wypili jedną butelkę wina, potem drugą, trzecią i czwartą. Kawiarnię mieli już zamkniętą więc jeden z chłopaków, Włodzimierz T. zaproponował, by kupili jeszcze trzy butelki wina i poszli do parku wypić. Uskładali więc szybko pieniądze, dokonali zakupu i poszli do parku. Tam, po wypiciu alkoholu dokonali na Wandzie R. gwałtu.

Poszkodowana powiadomiła organa MO i już rano cała ewentualność znalazła się w areście. Kiedy ich zamknęto Wanda R. — jak sama to tłumaczyła — poszła w sobie miłość do Włodzimierza T. Im dłużej siedziała w areście, im dłużej go nie widziała, uczucie jej rosło. Napisała więc list do niego, w którym mu swoją miłość wyznała. Uwielony zaraz skwaślowił uczucie to — przynajmniej na piśmie — odważnił i sprawa nabrała innego biegu.

Wobec zeznań Wandy R. sąd uniewinnił oskarżonych od zarzutu gwałtu, natomiast skazani zostali na tyle ile siedzieli do sprawy w areście za czyn nierzadny w miejscu publicznym. Wanda R. w innej sprawie dostała rok więzienia w zawieszaniu za fałszywe zeznanie. Po sprawie miłość ta trwała podobno jeszcze dwa czy trzy tygodnie, a rozstanie Wanda R. okupiła ciężkim rozstrojem nerwów. Ona naprawdę go kochała.

Tak więc, jak z powyższego wynika nawet tak skrajne dwa pojęcia jak miłość i gwałt mogą być ze sobą ściśle powiązane. Życie płata różne niespodzianki...

MIECZYSLAW STOLARSKI

KOMIK·SEX!·BAM
MAGAZYN!!·GRU·A
ZALEŻNY OD ŻYCIA
POD REDAKCJĄ ANDRZEJA
co tydzień odcinek (pół)

HASŁO TYGODNIA: KOMP SIĘ TYLKO W SZAMPANIE POD PALUSZKAMI (SŁONYMI) — JEST TO JEDYNE JESZCZE, NIE ZATRUTE SRODOWIŠKO NATURALNE. DOBRE CO, NIE!

PEJZAZ MORSKI, WIDOK OD STRONY LĄDU

DZIEWCZYNY NIE WIERZCIE ADMIRALOM! ADMIRAL NIE WSZYSTKO WAM POWIE! PÓDZIE, ZARZUCI BRON NA RAMIE...

MOJA ŻONA WTYKA CZASIE (SŁOMIANA WÓDKA ZREKLEZY) UPRAWIA HAZARD OBYCZAJOWY, ROZUMIEM TAKIE RZECZY NA WZDUSZACH — ALE ZE BY W DOMU!

UTYLEM ACH... SIĘ WYPIC

NIE JEST TO DOBRE ALE DA

PIŁEM LEP-SZE, PIŁEM

SIĘ WYPIC

GORSZE — LUBIE TAK ZE STARE DORSZE TO, WILNYE

OTYM DONO SI MI ZYKZ — LINY PRZYJACIEL! DZIEKUJE CI, PRZYJACIEL!

—gi odcinek AKTU DAMSKIEGO (c.d.n.)

ADMIRAL F. W.

JEST TO ZNAKOMITA MASZYNA — STRYGAR-KA DO STRYZENIA PIASKU NA LICENCJI OCZYWIŚCIE SACHARYJSKIEJ FIRMY „SAHA-RYNA”

FILM Z LELOUCHEM NA URLOPIE

Praktyka życia społecznego od dawna wydaje się być wdziecznym tematem dla przeróżnych teorii i koncepcji, które w swym historycznym trwaniu to zbliżają się, to oddalają od realiów na zasadzie ruchu wahadłowego. Upór i wytrwałość, z jakimi są rozpowszechniane niekiedy świadczącymi o ich słuszności i prawdziwości. Są raczej wyrazem determinacji i konsekwentnego działania ze strony ich autorów. Do tej m. in. kategorii poglądów należy przekonanie o sezonowej aktywności umysłu ludzkiego. Szarych komórek w gorący czas wakacji zwykło się zatem nie obciążać nadmiernym zajęciem — pewnie z troski o higienę refleksji intelektualnych w okresie jesień-zima. Ideologia ta wyraźnie faworyzuje wszelkie możliwe noczyjne leżanie: sprawa też, że gazecie leżać się czyta, że łatwiej ogląda się program TVP. Repertuar kinowy o miłośni i kowbojach, w gruncie rzeczy optymistyczny, bezbiednie ma trafić w centrum społecznego zapotrzebowania.

Claude Lelouch zawsze był optymistą. Bezgraniczna wiara w szczęście firmowała dwa szeroko znane jego filmy: „Kobiete i mężczyźni” oraz „Żyć aby żyć”. Elegancki, kolorowy świat prezentował wprawdzie dobrze urodzonych bohaterów, lecz zawsze gotowych do emocjonalnych wzruszeń na miarę bulwarowego melodramatu. Zeby wizja ta nabrała walorów filozoficznego uogólnienia, należało gatunek zdemokratyzować: zostawić na boku cieszących się publiczną sławą reporterów tudzież mistrzów kierownicy, luksusowym wnętrzem nadeć znaniona popularyści w dobrym guście, wyszukane efekty fotograficzne uzyskiwane przy pomocy obiektywów o długiej ogniskowej zastąpić bardziej powszechną perspektywą oglądania ludzi i rzeczy, wreszcie skale wartości psychologicznych i moralnych wzbogacić o sytuację ostateczną, o moment zagrożenia, najlepiej śmierci.

Już „Życie, miłość i śmierć” było pierwszym krokiem w tym kierunku. Film najnowszy pt. „Smile, Smac, Smoc” jest krokiem następnym. Opowiada wcale zabawną historię z życia trzech proletariuszów, którzy świadomi swej społecznej roli przekraczają beztrudno granice klasowych przedziałów i postanawiają spędzić weekend w Saint Tropez, modnym i drogim kurorcie na Lazurowym Wybrzeżu. Są biedni, ale piękni i szlachetni, o wrodzonym poczuciu humoru. Razem z Catherine, miłą piekareczką, a świeżo upieczona żona jednego z nich, oraz w towarzystwie ślepego akordeonisty „pożyczają” sztywnego Mercedesa, co najlepiej otwiera bramy takiego miasta pełnego snobów i znużonych utraciwszy, Tych Lelouch przekreśla i niemal kompromituje z tej prostej przyczyny, że mają pieniądze, więc łatwo na rynku zbywalny. W tym przypadku próbował swoje intencje niezbyt wysokiego lotu ukryć za parawanem żużelowej dramaturgii i ciągłej improwizacji, by filmowi nadać charakter utworu z ograniczonymi fikcją i dokumentu — jak dyktowała moda niedawno konwencja współczesnego kina w metodzie kreacji filmowego świata upatrująca dostęp do autentyczności przeżyć ekranowych postaci. Próbowal się również zastąpić holdem dla branych postaci. Próbowal się również zastąpić holdem dla branych postaci. Próbowal się również zastąpić holdem dla branych postaci.

Wbrew pozorom jesteśmy z powrotem na tym najlepszym ze światów, gdzie zyciowość i uśmiech królują niepodzielnie. Można by się pokusić o rozważenie rodowodu takiego schematu myślenia — tym bardziej, że ślady wiodą w stronę populistycznych tradycji kina Claira, Renoir'a i Pagnola. Lecz trop to fałszywy, na który dała się nabracz spora część oficjalnej krytyki pisząc głośno o ciekawym eksperymencie filmowym. Lelouch pozostał przede wszystkim z precyzją komputera produkując swoje obliczone na sukces „feluchy” — towar elegancko opakowany, więc łatwo na rynku zbywalny. W tym przypadku próbował swoje intencje niezbyt wysokiego lotu ukryć za parawanem żużelowej dramaturgii i ciągłej improwizacji, by filmowi nadać charakter utworu z ograniczonymi fikcją i dokumentu — jak dyktowała moda niedawno konwencja współczesnego kina w metodzie kreacji filmowego świata upatrująca dostęp do autentyczności przeżyć ekranowych postaci. Próbowal się również zastąpić holdem dla branych postaci. Próbowal się również zastąpić holdem dla branych postaci.

ZASTĘPCA

PISARZE I SPORT

Tematyka sportowa niejednokrotnie zajmowała i zajmuje ważną pozycję w twórczości niektórych pisarzy. Wymienimy tu choćby Jana Parandowskiego, który pełen uwielbienia dla igrzysk sportowych w starożytności Grecji poświęcił im wiele wspaniałych stron. Za powieść pt. „Dysk olimpijski” zdobył w 1936 roku na Olimpiadzie w Berlinie brązowy medal. Niezłyjący już Kazimierz Wierzyński, poeta, był przez jakiś czas redaktorem „Przeglądu Sportowego”, a na IX Olimpiadzie w Amsterdamie otrzymał złoty medal za tom poezji pt. „Laur olimpijski”. Zmarły dwa lata temu prozaik Marian Promiński zajmował się żywo tematyką sportową.

Paryski tygodnik kulturalny „Les Nouvelles Littéraires” informuje o interesowaniu się sportem trzech pisarzy francuskich. Są to: Camus, Montherlant i Giraudoux. Każdy z nich miał jednak inny pogląd na sport i jego rolę w życiu człowieka. Najdłuższy artykuł we wspomnianym czasopiśmie, pisał D. Duvauchelle'a omawia zainteresowania sportowe Alberta Camu-

sa, który jak wiadomo zginął tragicznie w wypadku samochodowym w roku 1960. „Sport odgrywa w życiu człowieka znaczną rolę — pisze we wstępie artykułu Duvauchelle — nie więc dziwnie, że znajduje to także odbicie i w twórczości pisarskiej”. Nie wdając się w miejscami zawile wywody Duvauchelle'a przypomnijmy najważniejsze

TELEWIZJA SEKS W TELEWIZJI

Dla wielu jest to prawdziwy magnes. Innych gorszy i oburza. Sprawa erotyki i seksu w naszych programach telewizyjnych stanowi problem, szeroko dyskutowany niemal w każdym środowisku.

Jak wykazały wyniki ankiety Ośrodka Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych Polskiego Radia i TV, filmy o miłości cieszą się powszechnym powodzeniem. Prawie 3/4 widzów twierdzi, że chętnie je ogląda i „bardzo lubi”. Jednak seks jako wątek główny ma w filmie miłosnym niewiele zwolenników. Preferuje go 14 procent ogółu widzów, i dezas gdy miłość akceptująca potrzebę solidarności pary ludzkiej zdobyła pierwsze miejsce (50 proc. głosów), a wątki traktujące o głębokim, trwałym choć trudnym uczuciu — drugie miejsce (45 proc. głosów). Młodzież znacznie częściej niż starsi przyznawała, że erotyka i seks są dla niej jednym z głównych czynników przykuwających uwagę przy oglądaniu programów TV.

Jeśli chodzi o nagość, to polska publiczność bardziej liberalnie traktuje ją na ekranie kina niż w telewizji. Na pytanie, czy można tego rodzaju „śmiecie” sceny pokazywać w filmie, 73 proc. respondentów odpowiedziało twierdząco, jeśli chodzi o kino, a 53 proc. — o telewizję. Tę różnicę postaw tłumaczy możliwość wyboru — wiek w kinie zwyczajnym jest ograniczony, a film telewizyjny ogląda się w domu, często w otoczeniu nieletnich, którym trudno przeczyć zasłanianie oczu.

„Nagie” sceny w filmie fabularnym w TV budzą sprzeciw raczej u osób starszych wiekiem, o niższym poziomie wykształcenia, zamieszkałych w mniejszych miejscowościach. Opinię, że nie należy pokazywać w TV filmów z takimi scenami wyraziło 47 proc. widzów powyżej 50 roku życia, a 42 proc. najmniej wykształconych i 42 proc. spośród mieszkańców wsi.

Znacznie bardziej „oswojona” jest publiczność telewizyjna ze skąpi strojami osób występujących w programach estradowo-rozrywkowych. Takie stroje, a raczej ich niedostatek, dopuszcza 67 proc. ogółu widzów, a nie akceptuje ok. 20 proc.

Kiedy zwrócono się do widzów, aby wśród różnych treści i obrazów dostarczanych przez program telewizyjny wskazać te, które uznają za szczególnie drastyczne i wychowawczo szkodliwe dla młodych ludzi, okazało się że widok nagości znalazł się na tej liście na ostatnim miejscu (11 proc. głosów ogółu badanych). „Sceny w łóżku” potępilo 22 proc. osób, treści mówiące o zdradach małżeńskich i związkach nieślubnych — 18 proc. Te sprawy zajmowały jednak dopiero piąte i szóste miejsce wśród wzorów negatywnych. Najsilniej potępiono wątki traktujące o przestępstwach i kradzieżach, oszustwach, sceny okrucieństwa, to tur i zabijania, a wreszcie... kuszący widok bogactw i luksusowych przedmiotów.

Ciekawe wnioski nasunęły badania dotyczące odbioru wieloodcinkowego serialu telewizyjnego „Chłopi” wg powieści Władysława Reymonta. Mimo iż serial cieszył się ogromnym powodzeniem — oglądało go średnio 85 proc. widzów — i jak wynika z badań był powszechnie akceptowany, pokazane w nim sceny erotyczne wywoływały negatywną reakcję części widzów w postaci listów, pochodzących zwłaszcza od mieszkańców wsi. Niektórzy korespondenci dziwił się, że odwrocy rolę filmowych zgodzili się na wystąpienie w tak — ich zdaniem — gorszących ujęciach.

PLASTYKA MATKA GORKIEGO i „Madonny” Kondka

„Ja, sluga boży Timur, oświadczam co następuje: Oto siedzi przede mną kobieta, jakich jest niezliczone mnóstwo i kobieta ta obudziła w mej duszy uczucia, których dotąd nie znałem. Mówi ze mną jak z równym i nie proszę leżać. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego tak silna jest ta kobieta. Jest silna, gdyż kocha i miłość pomogła jej pojąć, że dziecko jej — to iskra życia, która może wznieść płomień przeświecający następnym stuleciem. Czyż wszyscy prorocy nie byli kiedyś dziećmi, a wszyscy bohaterowie — słabymi?”

O Dáhangirze, ogniu moich oczu, być może tobie sążone było ogrzać ziemię, zasnąć ją szczęściem — a ja nasyciłem ją krwią, by stała się płodną!”

— I znów długo myślał biez narodów, i wreszcie rzekł: — „Ja, sluga boży Timur, oświadczam, co następuje: Trzydziu jeźdźców uda się natychmiast we wszystkie krańce mej ziemi i niechaj znajdą syna tej kobiety. Ona zaś będzie tu czekała i ja będę czekał wraz z nią. Ten zaś, który powróci z dzieckiem na siodle swego konia, będzie szczęśliwy — tak mówi Timur.”

— Czy dobrze mówię, niewiasto?”

Odrzuciła z twarzy czarne włosy, uśmiechnęła się do niego i odrzekła składowy głową:

„Tak, królu!”

Wtedy wstał ów straszliwy starzec, poklonił jej się milcząc, a wesoly poeta Kermani przemówił radośnie jak dziecku.

Napisał te słowa, pełne poezji i miłości Maksym Gorki w „Baśniach włoskich”. Pisał o Matce — o wszystkich Matkach wszystkich czasów. Te słowa mają dla nas dziś spe-



cialny ciężar. Zją jeszcze matki, które straciły swych synów i córki w ostatniej wojnie; w Wietnamie strzelano bez wyjątku do dorosłych i dzieci. Tam też płakały matki. I płaczą matki bezradne, patrząc jak ich dzieci umierają z głodu w Indiach, w Afryce, w Ameryce Południowej... Słowa Gorkiego stały się mottem cyklu grafik Wacława Kondka „Madonny” — grafik pełnych liryzmu, ciepła i miłości. Piękny i wzruszający to cykl grafik Wacława Kondka.

Na marginesie wystawy w Salonie PAX przy ul. Piotrkowskiej.

ANDRZEJ GRUN

fakty z życia pisarza jako sportowca i sposób traktowania przez niego sportu w jego twórczości. Młody Albert Camus urodzony w Algierze, już jako licealista obok żywych zainteresowań literackich pasjonuje się sportem. Każdą niedzielę uczeń, a później student Camus, spędza na boisku piłki nożnej występując w barwach swego klubu. Podobą mu się sport, czerpie radość z atmosfery szlachetnego współzawodnictwa, koleżeństwa na stadionie, fizycznej tętny jaką wyrażają treningi. Ale oto zbliża się dzień dramatu. Pewnej niedzieli, po meczu, kiedy przyszły sławny pisarz wyczerzał wszystkie swe siły, aby zapewnić swojej drużynie piłkarskiej zwycięstwo, chwytają go dreszcze. Następuje gorączka. Lekarze stwierdzają uszkodzenie płuca. Wkrótce stan chorego się pogarsza. Wyrok lekarzy jest dla młodego, zapalnego sportowca okrutny — gruźlica zaatakowała płuco. Ta choroba będzie go nekąc poprzez całe jego życie, aż do tragicznej śmierci na francuskiej szosie pod Villeblevin.

Choroba, która tak niespodziewanie wyeliminowała entuzjastę sportu Camusa z boisk i stadionów wyrze niewątpliwie swój wpływ i na Camusa-pisarza. Ten wielbiciel sportu w duchu szlachetnych zmagani zawodników starożytnej Grecji, nigdy już nie będzie mógł marzyć o tym, by sięgnąć po olimpijski laur. Pozostał mu jedynie wielbienie piórem sportowych ideałów, kult starogreckich sportowców, tych, według

klaskuje obydwo wnosząc okrzyki zarówno na cześć zwycięcy jak i zwyciężonego. Sportowcy umieli ocenić intencje Camusa i jego uwielbienie sportu. I kiedy pisarz otrzymał w roku 1957 nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, pewnego ranka nadeszła do niego depesza gratulacyjna podpisana przez wszystkich członków drużyny piłki nożnej, ekipy francuskiej, która wówczas była na trzecim miejscu w konkurencji światowej.

Dodajmy od siebie, że być może to wewnętrzne rozdarcie, jakie spowodowała choroba, to że pisarz wyeliminowany został ze stadionów sportowych, wpłynęło na gorzyc jego stosunku do życia, gorzyc wyrażająca się w widzeniu absurdalności ludzkiego losu i ludzkiego istnienia. Bo przecież, jak to stwierdza w swym artykule Duvauchelle, Albert Camus „był jednym z największych humanistów jakich posiadał nasz wiek”.

Inny stosunek do sportu miał Montherlant. Jeszcze jako uczeń brał udział w walce byków. Siła, męstwo, wysiłek nawet ponad swe możliwości — oto credo sportowca Montherlanta. Uprawiał biegi na krótkie dystanse, grał z zapalem w piłkę nożną. Uważał sport za rodzaj surowego obrzędu. Palenie papierosów na stadionie traktował jak zbrodnię. Uważał, że sportowiec powinien żyć niemal w celibacie, a przespanie się ze sportmenką traktował jako profanację świętości, jaką był dla niego sport. Na tematy sportowe pisał wiele. Na cześć Olimpiady 1924 roku odbywającej się w

Paryżu wydał „Poezje olimpijskie”. Idea kultu siły i własnego „ja” sprowadziły go niestety na manowce polityczne. Montherlant w swych życiowych poglądach znalazł się blisko ideologii faszystów i był jednym z tych nielicznych pisarzy francuskich, którzy podczas drugiej wojny światowej nie cofnęli się przed kolaboracją z niemieckim okupantem. Odebrał sobie życie kilka miesięcy temu, gdy postarzewszy się zaczął tracić wzrok.

I wreszcie Giraudoux. Dyplomata, pisarz, wybitny stylista, głównie cenil w sporcie styl i elegancję. Cenil je tak w życiu, jak w literaturze jak i w sporcie. Był znakomitym biegaczem na 400 metrów, uprawiał jazdę konną, brał udział w wycieczkach samochodowych i grywał w tenisa. Ale był pierwszym na mecie zwycięzca, uprawiał jazdę konną, brał udział w wycieczkach samochodowych i grywał w tenisa. Ale był pierwszym na mecie zwycięzca, uprawiał jazdę konną, brał udział w wycieczkach samochodowych i grywał w tenisa.

W pierwszym wojnie światowej jako żołnierz frontowy odniósł dwie ciężkie rany. I był pierwszym z francuskich pisarzy odznaczonych za męstwo w pierwszej wojnie światowej.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

WYRAZY OBCE

Niedawno opublikowaliśmy list Czytelniczki Wojciecha Gozdzi w sprawie - najogólniej mówiąc - języka prasy. Jak wiadomo, drukujemy nieraz bardzo kontrowersyjne i krytyczne opinie i tak powinno być. W gazeta stawa się także trybuna czytelników. Myślę jednak że tego listu nie można pozostawić bez odpowiedzi.

Po pierwsze dlatego, że Czytelniczka sugeruje, iż pisze w imieniu ogółu - po drugie dlatego, że głosi poglądy generalnie niesłuszne. Moim zdaniem najlepiej jest wtedy, gdy każdy wyraża swój osobisty pogląd nie strając się w szaty Narodu, Społeczeństwa, Rzeszy, Czytelniczych... Pogląd naszego Czytelniczki jest jego osobistym poglądem do którego ma prawo. Skoro jednak dana mu została możliwość wypowiedzenia go publicznie - niech i ja publicznie wyrażę swoje zdanie.

Otóż Czytelniczka nasz udowadnia (na przykładzie recenzji A. Gruna), że język prasy jest zawiły, że za dużo tu obcych słów, rusycyzmów itp.

Prawda jest taka, że język to struktura żywa, która absorbuje z zewnątrz (z innych języków) zwroty i słowa. Nie ma języka, który nie karmiłby się zapożyczeniami. My bierzemy od innych, inni biorą od nas. Gdyby tak nie było, mówiliby-

śmy jeszcze do dziś językiem Mikołaja Reja.

Jest jeszcze i druga sprawa. Gdyby ludzie pióra nie eksperymentowali z językiem, gdyby nie adaptowali do swego piśmiarstwa form potocznych (często niepoprawnych z punktu widzenia gramatyki historycznej), gdyby nie adaptowali dla potrzeb polszczyzny słów i innych kregów językowych, gdyby nie tworzyli neologizmów - słowo pisane byłoby mde, suche, przypominające biuletyn urzędowy, a nie literaturę i publicystykę.

Nasz czytelnik pisze: „Muszę też zwrócić uwagę p. Gruna na wyrażenie „na naszych oczach”, które jest zwrotem rosyjskim, po polsku mówi się „w naszych oczach” i to jest logiczne, bo nie na powierzchni oka obraz się odbija, ale wewnątrz”.

Otóż nieprawda. Logika medyczo-anatomiczna na niewiele się zda w wypadku języka. Po polsku mówimy „na naszych oczach” właśnie i argumenty czytelnika są tu balałutne. Nie wiem, czy pan Gozdź zwróci również uwagę takiemu stylistyce i znawcy języka jak Jan Parandowski, który napisał w „Dwu wiosnach”: „Wszystko odbywało się na oczach jakichś

widów”. Albo, czy zwróciłby uwagę wybitnemu pisarzowi, Stanisławowi Piętakowi, który we „Wspólnej dolinie” napisał: „Ojciec dzierżawił młyn parowy i obrastał w majątek wprost na oczach ludzkich”...

Jest to zwrot utarty, zasiadający w języku i literaturze, po cóż bając o rusycyzmach? Ba, jest to zwrot usankcjonowany przez językoznawstwo i znaleźć go można na 588 stronie „Słownika frazeologicznego języka polskiego”. Nie chodzi tu więc nawet o żaden eksperyment - po cóż więc wtyczać armaty czystości języka?

Pisze nasz czytelnik: „Przymiotnik „marginalny” utworzył A. Grun błędnie”. Otóż nieprawda. A. Grun wcale nie utworzył tego przymiotnika, on jest, istnieje w polszczyźnie. Jest także (to oczywiste) na 372 stronie „Słownika Języka polskiego” (cena 180 zł).

Pisze nasz czytelnik, że w artykule znalazły się niepotrzebnie takie słowa, jak „konfrontacja”, „kontrowersja”, „umysł konceptualny”... Czy niepotrzebnie? No, cóż, można przecież napisać „porównanie”, „spór”, „umysł pojęciowy”. Takie są bowiem - mniej więcej - polskie odpowiedniki tych słów. Ale właśnie są to odpowiedniki „mniej więcej”. Właśnie w imię precyzji pisze się „kontrowersja”, gdy chodzi o sprawę nieco inną, niż zwykły „spór” - dwa sasiadki o klucz od pralni. Określenie „umysł pojęciowy” - zupełnie nie po polsku nie znaczy, trzeba jednak wiedzieć, że konceptualizm jest określeniem z dziedziny sztuki i filozofii i właśnie w tym brzmieniu ma sens, choć wygląda obco.

Nie przesadzajmy. Nie można napisać artykułu o ekono-

mii bez użycia określeń właściwych tej dziedzinie. Nie można napisać o cybernetyce bez posługiwania się słownictwem przedmiotu. Na dobrą sprawę można zmienić nazwę dorocznego przeglądu filmów, noszącego hasło „Konfrontacje” ale przecież klimat, charakter, barwa znaczeniowa tego słowa jest zupełnie inna od polskiego słowa „porównania”.

I tu jest chyba pies pogrzebany. Słowa nieraz znaczą to samo, ale ich charakter różni się bardzo poważnie. Podchodząc do języka ze zbiorom przepisów jeno - niewiele się wskóra, gdy idzie o precyzję i ekspresję. Wyobrażam sobie, jak wyglądałyby cała strona polskiej literatury, gdyby je ktoś zaadaptował w myśl szeptanych reguł gramatyki. Uleciałyby z nich temperatura, ekspresja, charakter, niepowtarzalność...

Nasz Czytelniczka przywołuje autorytet prof. Doroszewskiego, który twierdzi, że wyrazy są po to, aby przekazywać wiadomości z sensem i odpowiednio. Święte słowa. Niech więc i ja zakończę również cytatem z prof. Doroszewskiego, który napisał: „Przesadny lęk przed każdym wyrazem obcym byłby objawem pewnego rodzaju kompleksu niższości” i dalej: „Sprawę wyrazów obcych należy traktować jak najprościej, nie komplikując jej przez wybuchy nieuzasadnionych protestów”...

Otóż to!

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



WIDOK

LEWYM OKIEM!

GRUCZOŁY MUSZĄ SIĘ ZNALEZĆ

Słynny nasz specjalista od sadownictwa, profesor Pieniążek, powiedział w wywiadzie, ogłoszonym niedawno na łamach „Kultury”, że w Ameryce Środkowej, w rejonie Costa-Rica, dojrzewa przedziwny rodzaj owocu: jest to owoc niesmaczny, mdły, cierpki, ale

działa jakoś tak na gruczoły smakowe człowieka, że wszystko co się po nim spożywa wydaje się niezmiernie smaczkowite.

Kapitałna rzecz! A dawajcie nam prędko te owoce! Sprowadźmy ich tysiące ton, dajmy każdemu obywatelowi

na przydział, ba, zobowiązmy każdego do wręczenia takiej costarikańskiej gruszki, wpakujmy mu kęs co dzień przed śniadaniem do buzi, dopilnujmy żeby pogryzł dokładnie i polknął. Niech się krzywi i marszczy, nie szkodzi. Za to później - cóż za ogromny zysk, zarówno indywidualny, jak społeczny!

Nagle rodakom zaczynają smakować nawet pieprzne hamburgery z dorsza w upalny dzień, na stojaku, pod parasolem. Dzieci zjadają się zupą szczawiową z ryżem w barach mlecznych, a wsunawszy w tymże barze kluczy z pieczarkami, wołają o jeszcze! Żaden zakład zbiorowego żywienia nie musi już wysilać inwencji przy drukowaniu karty dziennej ani walczyć o złotą patelnie. Wystarczy bigos z pieczywkiem i pomidorami z ekstraktu. Robota żadna, a smakuje wszystkim jak najczulsze udko z pulardy a la rien ne va plus. Ceny byłyby zróżnicowane

tylko w zależności od jakości obsługi, a zwłaszcza od działalności rozrywkowej w danym lokalu. Chociaż...

Może by się dało wynaleźć jakiś taki rodzaj rozrywki, cierpkiej i mdłej, analogicznej do tamtych egzotycznych owoców, po której każdy następny numer wydawałby się szczytem poziomu, wirtuozerii, dowcipu i wdzięku? Może jest coś takiego, co by podziało na odpowiednie gruczoły (rozrywkowe)? Odpadłoby następne zmartwienie. Nie trzeba by szukać mozolnie zgrabnych striptiserek, ani śpiewaczki ani zespołu muzycznego, który by grał, a nie tylko walił w bębny i blachy. Odpadłaby konieczność angażowania aktorów, uczenia się roli na pamięć, reżyserowania, kosztiumów: wyszłaby na estra-

de... (wszystko jedno kto; kogo byśmy nie wymienili - obrazi się odnośny związek zawodowy)... i powiedziała wszystko jedno co w swoim rodzimym narzeczu. Goście przy bigosie pokładają się ze śmiechem, młazszą i wołają bis. Wszystkie numery podobają się wszystkim, więc już tylko poziom obsługi może stanowić kryterium zróżnicowania cen. Chociaż...

Można sobie przecież wyobrazić taką obsługę, cierpką i niesmaczną, po której każda następna przyjmowana będzie przez usługobiorcę jako popis galanterii, uprzejmości i wersalu. Można sobie nawet wyobrazić odpowiednie gruczoły (usługowe), na które wystarczy odpowiednio zadziałać, a człowiek staje się zadowolonym ze wszystkiego, tryskającym pogodą ducha, pojedynym z całym światem i z ludzkością.

ĆWIEK

PRZECIEŁOŚĆ

terazniejszość

W POSZUKIWANIU SKALI SĄDÓW

Dwie pamiętne daty: 22 lipca i 1 sierpnia. Czy łączy je coś więcej, niż przypadkowe następstwo czasu? Pokolenie, dla którego rok 1944 nie jest już ani przeżyciem, ani wspomnieniem, które uważa go za historię jak każdą inną, której uczy się - książek, może się poddać wrażeniu, jakoby... jedna rocznica niejako przekształcała się w drugą. Nie umilkły jeszcze echa lipcowego święta, kiedy na łamy gazet, do radiowych komunikatów i telewizyjnych obrazów wkroczyły przypomnienia Po-

wstania Warszawskiego. Dwie daty - ale czyż na tej samej rozpiętej skali?

Refleksja historyczna, ku utraپieniu tych wszystkich, którzy żądają od historii wyroków raz na zawsze, sądów niewzruszalnych i kategorycznych, nie może być jednowymiarowa. Zdarzenia oglądane z perspektywy własnych doznań, osobista historia każdego z nas, operuje niezmiernie wąską skalą ogólnego sadu, chociaż i ona się jego nie wyrzeka. Ale jeżeli pragniemy zachować poprawność naszego

myślenia, staramy się zweryfikować tę naszą osobistą historię odwołując się do historii w szerszej skali, tej, która mniej jest może wyculona na barwę jednostkowych zdarzeń, za to ogarnia szerszy horyzont dziejowych procesów, które się przez owe złażenia realizowały. Pisałem już na tym miejscu, że twórcą Manifestu Lipcowego nie przysięcał cel fundowania Polakom nowego narodowego święta, chociaż na pewno mieli oni świadomość doniosłości swoich czynów. Ale ich faktyczne dziejowe znaczenie ujawniło się w całej pełni dopiero wówczas, kiedy czynny te przyniosły oczekiwane owoce: dopiero wtedy dostąpiły one świętejszej roli. Nie inaczej - chociaż w istocie bardzo odmiennie - jest również z Powstaniem. Bohaterski i ofiarny zryw tysiecy ludzi, którzy potrafili zdobyć się na ofiarę największą, w imię walki ze zleniawionym wrogiem, w imię wolności Ojczyzny. Wskomniac rozkazy dowództwa wierzyli, że walczą o wolną Polskę, i z tą wiarą gineli na barykadach, w podziemnych kanałach, w zasypianych wybuchem bomby piwnicach. Nie studiowali dyplomatycznych enuncjacji. Nie wnikali w wielkie polityczne

plany; nie znali ich, ale też nie była to ich historia. Ta, którą unieśli z sobą żywi i przekazali społeczeństwu, była to historia zmagania i krwi, bohaterstwa i poświęcenia. Historia w skali doznań tysięcy.

Ale przecież nie jest to jedyna skala historii Powstania Warszawskiego. Dnia 1 sierpnia po kilkudniowym pobycie w Chełmie Lubelskim PKWN przyjeżdża do Lublina, gdzie instaluje się w budynku przy ulicy Spokojnej pod numerem 4. Tam znajdowała się też siedziba Prezydium KRN. Od sześciu dni bawi w Moskwie delegacja rządu londyńskiego, i óra przybyła tu drogą lotniczą przez Kair i Teheran, licząc na to, że uda się jej uzyskać porozumienie z władzami radzieckimi i spowodować cofnięcie uznania PKWN. Rząd londyński nie rezygnował z zamiarów objęcia władzy w wyzwolonej Polsce i rozpoczął o nią walkę zarówno na forum międzynarodowym, jak i w kraju. Atutem w tej walce była decyzja o podjęciu powstania: dowództwo AK i Delegatura zostały jeszcze 26 lipca upoważnione do „ogłoszenia powstania w momencie przez Was wybranych”. Wedle relacji T. Bora-Komorowskiego planowane oprowadzenie Warszawy na 24 godziny przed

wkroczeniem wojsk radzieckich, aby „organa administracji mogły się zebrać i wystąpić wspólnie jako gospodarze, przyjmujący wojska radzieckie”.

Już w pierwszej swej rozmowie, jaką S. Mikołajczyk odbył 3 sierpnia z J. W. Stalinem, okazało się jasne, że marzenia londyńskich kół politycznych były ponne. Radziecki przywódca oznajmił wręcz Mikołajczykowi:

„Zanim ustanowimy normalne stosunki między nami, dobrze będzie skończyć z podwójną władzą, jedną w Londynie, a drugą w Chełmie. Zgadzą się z Churchilllem, że dobrze byłoby zjednoczyć wszystkich Polaków w celu utworzenia Rządu Tymczasowego, ale to powinni uczynić sami Polacy”.

I dalej:

„musi się pan porozumieć z Komitetem Lubelskim. My go popieramy. Jeżeli pan tego nie zrobi, rozmowa nasza nie da rezultatów”.

Jakoż i nie dała, przynajmniej tych, jakich oczekiwał S. Mikołajczyk, podobnie jak nie przyniosła ich inna rozmowa, ta, którą odbył on 6 i 7 sierpnia z delegatami PKWN Bolesławem Bierutem, Edwardem Osobką - Morawskim, Andrzejem Witosem i Michałem Rołą - Żymierskim.

Taki był ogólny, polityczny kontekst Powstania Warszawskiego...

Rozpatrywane w tej, szerszej niż poprzednia historycznej skali, skłania do odmiennych, choć uzasadnionych sądów. W skali historii wielkich procesów nie ma między datami 22 lipca i 1 sierpnia zgodnego następstwa, nie są one ulepione z jednej i tej samej gliny, jedna zdaje się być antytezą drugiej.

Nielatwo przyszło nam pogodzić wychodzące z odmiennych perspektyw sądy, aleśmy w końcu tego dokonali. Ludzie PKWN nie wywieszają dziś plakatów z napisem „AK - czarny karzeł reakcji”, z najwyższym szacunkiem pamiętają o Powstaniu, jako bohaterskim, bezprzykładnym, pełnym zapału zrywie do walki o wolność. Ci, którzy wówczas walczyli w stolicy, ich dzieci, nieraz już wnuki, nie roniąc nic z pamięci (i w tamtych tragicznych dni, mają pełną świadomość, że warszawski dramat walki i śmierci był atutem w ręku tych, którzy przegrali, nie umiając znaleźć swego miejsca w biegu stających się dziejów. Na tym polegał tragizm Powstania Warszawskiego.

LEKTOR